

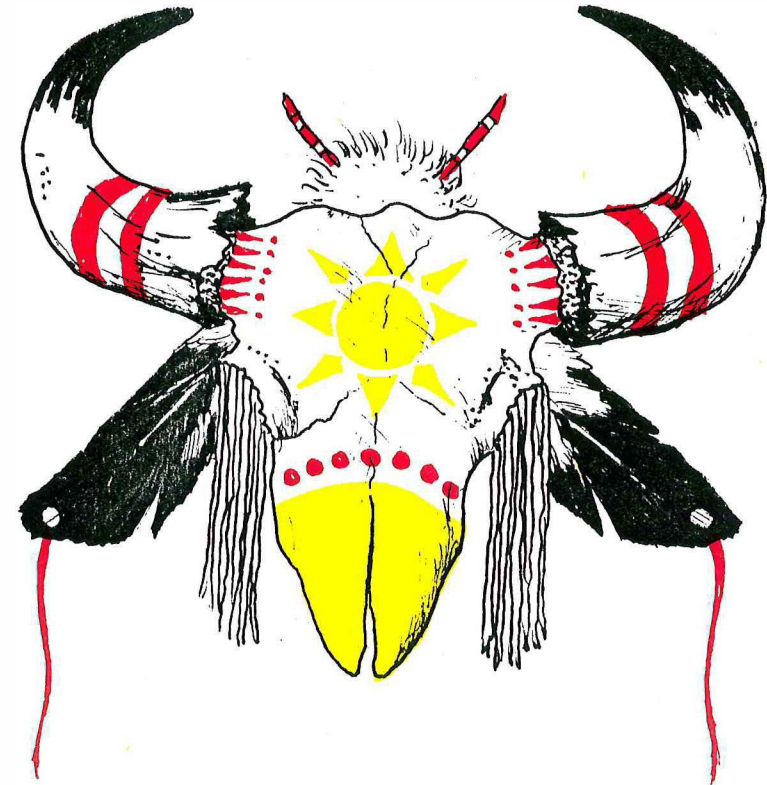
Cena 2 zł 90 gr (29.000)

Gdyby generał Crook odniósł decydujące zwycięstwo nad Pączkiem Róży, nie byłoby bitwy nad małą rzeką Owcy Wielkorogiej (Little Bighorn). Może nie dopuszczał do siebie myśli o pokonaniu sześciu tysięcy wrogich wojowników, może wypadki nad rzeką Prochową uczyły go zbyt ostrożnym. Dwa razy wojownicy Szalonego Konia stawili czoła frontowym żołnierzom, dwukrotnie też wycofali się, by walczyć jeszcze raz.

Osiem dni później, 25 czerwca 1876 roku, generał George Armstrong Custer spotkał tych samych Indian w miejscu odległym o niecałe czterdzieści mil od Pączka Róży. Wszyscy znają historię tego fatalnego spotkania.[...]

Bitwa nad małą rzeką Owcy Wielkorogiej stanowiła kulminacyjny punkt oporu Siuksów i Szejenów wobec naporu białych. Była jednak zarazem początkiem końca tego oporu. Teraz rząd, zszokowany tak bezprzykładną klęską, obrał politykę ścigania i zemsty. Moc Stanów Zjednoczonych okazała się zbyt wielka dla Indian. Ich klęska była kwestią czasu. W czternaście i pół roku po bitwie z Custerem, cały opór czerwonoskórych rozsypał się jak domek z kart. Naród Siuksów nigdy już więcej nie zagroził osadnikom przybyłym na jego tereny.

Cornelius C. Smith Jr
fragment eseju *Crook i Szalony Koń* [str. 8–17]



Pisanie o historii jest wymagającym zadaniem, jeśli chce się rzetelnie przedstawić realia i ducha wybranej epoki. Po lekturze bardzo interesującego eseju Corneliusa C. Smitha, Jr o generale Crooku i Szalonym Koniu, stwierdzić trzeba, że autorzy popularnych w Polsce książek (nawet tych najnowszych, z pięknymi ilustracjami) o wojnach drugiej połowy XIX wieku, nie mówią właściwie nic nowego. Mniej lub bardziej zrećnie przekładają ogólnie znane fakty i ich, często błędne, interpretacje. Tymczasem istota tkwi zawsze w szczegółach, bo głównie w nich przechowują się cechy charakteryzujące epokę i ludzi, ich jasne i ciemne strony, ich namiętności i dążenia.

Tak mało, zdawałoby się, znacząca uwaga o arsenale broni i żywności w wiosce Szalonego Konia nad rzeką Prochową, rzuca zupełnie nowe światło na wzajemne relacje białych i Indian. Mówiąc szczerze, stawia znacznie więcej pytań, niż daje odpowiedzi. Na pewno nie zachęca do stosowania czarno-białego schematu: biedni dobrzy Indianie i źli biali ludzie.

Myślę, że już najwyższy czas na zmianę sposobu pisania o Indianach, na wystrzeżenie się banalnych interpretacji, nie mających nic wspólnego z rzeczywistością, a wreszcie na wydawanie wartościowych książek.

Póki co, zapraszam do lektury „Tawacinu”.

Redaktor



Ukazuje się: w marcu, czerwcu, wrześniu, i grudniu **Redaguje zespół:** Wiesław Karnabal (redaktor naczelny), Marek Maciołek i Marek Nowocień **Stale współpracują:** Roman Bala, Marek Cichowski, Maciej Lewandowski, Aleksander Sudak i Mirosław Sulgostowski **Adres redakcji:** Dąbrowa, ul. Szkolna 9, 62-069 Palędzie **Wydawca:** TIPI ul. Łąkowa 3, 64-050 Wielichowo **Druk:** Usługi Poligraficzne „WI-MARK” ul. Czereśniowa 10, 62-800 Kalisz

W tym numerze:

Dobra indiańska droga – dlaczego ludzie obcych narodowości interesują się Indianami

Nikt nie jest święty na tej ziemi: tradycyjna religia Lakotów w życiu współczesnym – mówi Robert Staed

Crook i Szalony Koń – nierozstrzygnięte starcia nad Rzeką Prochową i Potokiem Pączka Róży stanowiły strategiczne preludium do klęski na Wzgórzu Custer – twierdzi pułkownik Cornelius C. Smith, Jr.

Storm Horse – poezje Clifforda Bernie, Jr., Siuksa Yankton.

Gawędziarstwo i świętość – znany poeta, gawędziarz i wydawca Abenaków, Joseph Bruchac omawia podstawowe założenia gawędziarstwa i jego związek ze świętością i życiem.

Gluskabi i Skunks – jedna z opowieści Josepha Bruchaca

Muzeum bez ścian – o otwarciu nowego muzeum tubylczych Amerykanów w Nowym Jorku i pierwszych ekspozycjach

Quebec! Quebec! – przed wrześniowym referend, stanowisko tubylczych mieszkańców tej prowincji

Akwesasne Notes – po dwóch latach przerwy, ukazał się nowy numer tego największego czasopisma tubylczych Amerykanów

Kashtin – droga do sławy – trzecia płyta zespołu śpiewającego wyłącznie w tubylczym języku Innu

Indiańskie „Oscary” – nagrody dla tubylczych aktorów

Indiańskie gry i zabawy – kilka propozycji na zbliżający się XIX Złot Polskich Przyjaciół Indian

Ponadto stałe rubryki: **serwis informacyjny z ziemi Indian, porady „zrób to sam”, kuchnia, znane i nieznane, listy i zwierzenia Cienia**

Projekt okładki i wykonanie: Niedźwiedź

Podziękowania: Wojciech Dziadkiewicz, Tomasz Grześkowiak, Krzysztof Janiak, Marzena Marszałek, Beata Szymik, Stanisław Mozoła i Longlin Jan Okoń



Big White Owl

DOBRA INDIAŃSKA DROGA

Kishalehmookqutang, nasz Stwórca nigdy nie wydaje mi się tak wielki i prawdziwy jak wtedy, gdy wyjeżdżam z zadymionego, brudnego mlasta, o cuchnącym i gęstym od zanieczyszczeń powietrzu. Doświadczam wtedy cudownego uczucia bycia z dala od nieustannego pośpiechu i bleganiny gwarnego tłumu i przeraźliwego ryku pojazdów.

Ludzie w wielkim mleszczu spychają Stwórcę ze swej drogi. Robią z Niego satelitę, by krążył gdzieś na obrzeżach życia. Szydzą z Niego. Nie okazują Mu szacunku. Nie wierzą w Niego. A jednak ci sami ludzie o bladych twarzach pracują jak szaleni przez wiele mleszczących, żeby wyjechać na

wakacje i przez dwa tygodnie „żyć po indiańsku”. Myślę, że to zachowanie prowadzi nas nieomylnie do stwierdzenia: Indiańska droga to dobra droga!

Tak, drogi przyjacielu, tam na otwartej przestrzeni – gdzie powietrze jest ciągle czyste, gdzie jest wiele miejsca, gdzie nasz Stwórca przyodziany jest w promienie słońca i błękit nieba, gdzie tęcza jest Jego koroną, a każdy Jego oddech to wiatry wiejące po łąkach i dolinach; Jego pieśń to symfonia strumieni, rzek, jezior i wodospadów... – tam dopiero żyje!

Tutaj, na ziemi moich Lenni Lenapów – gdzie kołysanie gigantycznych świerków,

klonów, sosen i cedrów; gdzie pieszczota łagodnych wiatrów, które szepczą i mruczą opowieść o dostojności i majestacie Stwórcy – tu dopiero cieszę się życiem!

Zadaję więc sobie pytanie: Kim jestem? Kim jestem? Kim jestem? Skąd się wziąłem? Nie mam dla was odpowiedzi, choć coś niecoś wiem. Moi przodkowie mieszkali na tej ziemi na długo przed innymi. Jesteśmy pierwszymi ludźmi i mamy tu swój cel – tyle wiem!

Jestem święcie przekonany, że *Kitche Manitou*, Wielki Duch, musi lubić wolną przestrzeń, bo inaczej nie uczyniłby takich przestworzy z gwiazdami, planetami, licznymi konstelacjami i bezkresnym, bezgranicznym kosmosem. Nasza mała planeta Ziemia, na której żyjemy, wydaje nam się tak niezmiernie rozległa, ale jednocześnie jest ona zaledwie ziarnkiem piasku na brzegu wieczności.

To prawda, że jesteśmy małymi pielgrzymami na tej ziemi, przybyliśmy tu tylko na chwilę. Przychodzimy z próżni, z najwyższej ciemności, z największej tajemnicy, zapalamy się przemijającym blaskiem, a potem znów znikamy w wielkiej nieznanej.

Myślę i wierzę, że każdy człowiek podobny jest do iskry światła w stworzeniu, której płomień różni się od wszystkich pozostałych, zgodnie z naszymi indywidualnymi cechami.

Niektórzy promienieją jasnością, inni są tępi i ocieźali, ich płomień dopala się. Jeszcze inni są bardzo, bardzo bladzi. Są też tacy, którzy mają iskrę tak nikłą, że trudno ich prawidłowo określić.

Tak, drogi przyjacielu, zaledwie nieliczni z nas otrzymali przywilej pozostawienia śladu na przestrzeni czasu!

Kiedyś w zadumie przyszły do mnie takie słowa: „Jak wspomniały i cudowny jest człowiek! Gdyby tylko wykorzystał swe liczne talenty i cudowne pomysły w mądry i roztropny sposób. Gdyby tylko nauczył się używać je dla poprawy całego życia, człowieka, zwierząt i roślin zamiast rozwijać te moce w celu rozkładu i całkowitej zagłady!”

Samolubni, rywale, intryganci, marzyce – czyż wszyscy nie jesteśmy tacy sa-

mi? Tak często kompletnie lekceważymy i zapominamy o naszym Stwórcy. Każdy z nas jest ważny we wszystko widzącemu oku Dawcy Życia, który nie zapomina o pokierowaniu lotem kolibra, ani o przyrzeniu się cudownym pączkom kwiatów na leśnej polanie, które tam umieścił z większą miłością i czułością niż dzieła wszystkich królów, premierów, prezydentów czy dyktatorów.

Rzeczywiście *Kitche Manitou*, Wielki Duch moich przodków (naszych pradziadków) – jest Jedynym i Najpotężniejszym. Nie możemy już negować Jego obecności. Jego moc i łaska są wszędzie. Jest Najwyższy i Nieskończony. Wielki Duch jest samym życiem we wszystkich istotach i stworzeniach.

My, ludzkie istoty jesteśmy tylko kruchymi i delikatnym przejawem życia. Żyjemy, walczymy, szukamy, zdobywamy i wędrujemy przez chwilę po tym świecie; wkrótce – zawsze przedwcześnie – zostaniemy zabrani i złożeni w łonie naszej Matki, dobrej ziemi, kiedy iskra życia opuści śmiertelne ciało, żeby zespolić się z wiecznością.

Tak, drodzy przyjaciele, w każdej mijającej chwili naszego życia, podróżujemy w kręgu, który prowadzi nas coraz bardziej, coraz bliżej do wejścia, które otwiera się na Wielkie Poza, na Krainę Szczęśliwych Polowań, na Ziemię Wiecznego Pokoju, z której nie powrócił jeszcze żaden wojownik.

Zatem, mój drogi czytelniku, wszelkie dobre dzieło czy uczynek, jaki możemy spełnić wobec naszym krewnym i przyjaciół, każdą uprzejmość, jaką możemy okazać ludziom i zwierzętom – zróbmy teraz, póki żyjemy. Nie odkładajmy tego na później. Nie zapominajmy o tym... musimy zrobić to teraz, zaraz – bo już drugi raz nie pójdziemy razem tą drogą!

Powiedziałem. □

Big White Owl

Przetłumaczył Marek Maciołek

Na podstawie: „The Native Perspective” Vol. 2, No. 10, 1978.

Nikt nie jest święty na tej ziemi

Tradycyjna religia Lakotów w życiu współczesnym

Wstęp – Kenneth Oliver

Każdy z obecnych tutaj* ma odmienne poglądy na to, kim jest człowiek mocy (*medicine man*) w indiańskiej religii. W miarę jej głębszego poznawania spostrzega się, że zawiera ona coś więcej niż obrzędy, niż działania, które podejmuje się do osiągnięcia określonych rezultatów. Mam tu na myśli system wierzeń, konkretne wartości. Jestem asystentem lekarza i wydaje mi się, że spełniam swój obowiązek pomagając Robertowi Steadowi. Postrzeganie religii indiańskiej w takim kontekście ukazuje uznane przez nią wartości.

Pierwszą i podstawową wartością jest zdrowie. W wielu społeczeństwach, z którymi miałem styczność, zdrowie nie jest uznawane za cnotę; ludzie starają się o nie we własnym zakresie. Natomiast w religii społeczności Lakotów, ludzie bardzo wysoko cenią zdrowie, także w jego wymiarze psychicznym. Tak więc Lakota proszą o *wookiye* – o zdrowie w swym życiu codziennym.

Po nim następuje wartość, która zwana jest *wicoicage* czyli życie, wzrastanie, długowieczność.

Kolejną wartością jest *wowahwala* – pokój, opanowanie, umiejętność tłumienia agresji, która mogłaby kogoś skrzywdzić, bycie zdolnym do rozładowania jej w sobie. Następnie mamy *wacantognaka* – hojność. Wreszcie, jako ostatnia, choć nie mniej ważna od pozostałych, jest wielka wartość – cierpliwość, umie-

* Publikowany tu tekst wygłoszono na sympozjum American Indian Religion in the Dakotas: Historical and Contemporary Perspectives [Religia Indian amerykańskich w Dakocie Południowej i Północnej: perspektywy historyczne i współczesne], jakie odbyło się w dniach 1-2 kwietnia 1982 roku w Bismarck (Północna Dakota, USA).

Tłumaczenia dokonano na podstawie: *Traditional Lakota Religion in Modern Life* by Robert Stead. W: *Sioux Indian Religion* wydane przez Raymonda J. DeMallie i Douglasa R. Parcksa.

jętność bycia cierpliwym, umiejętność czekania; czekania aż dorosną dzieci, czekania na pory roku, na lata, nawet umiejętność czekania na swe największe potrzeby.

Wszystkie te wartości zawarte są w modlitwie do Wielkiego Ducha, który wybrał małą garstkę ludzi na tej ziemi, żeby się z nimi komunikować. Na szczęście, w obecnych czasach, pomimo wszelakich trudów, pomimo braku wiary, żyją ludzie, którzy mogą porozumiewać się z Wielkim Duchem. Termin „Wielki Duch” jest tłumaczeniem *Wakan Tanka* – „Wielka Świętość”. Zastanawiamy się, co oznacza słowo „wielka” i co znaczy słowo *wakan* – „świętość”?

Jest człowiek, któremu mam szczęście pomagać i z nim przebywać, który to wszystko wie. Każdemu chce pomóc, zawsze, we wszystkim. W tym celu chodzi po ziemi. Udał się na poszukiwanie wizji, a one [duchy] zabrały go ze wzgórze, na którym stał, do ziemi duchów. Opisuje to miejsce jako dobre, przyjemne, do tego stopnia, że nie chciał stamtąd wracać. Nim odejdzie, ma na ziemi zadanie do spełnienia: pomaganie ludziom stawać się lepszymi, aby im się dobrze wiodło, pomaganie im w osiągnięciu tego, czego potrzebują – przede wszystkim zdrowia.

Leczył wielu ludzi, przemawiał w wielu miejscach; przychodzą do niego ludzie z różnych stron świata żeby go zobaczyć, żeby nabrać od niego duchowości, aby także móc żyć z tymi cnotami i innymi ludźmi w harmonii.

Dużo myślę w kategoriach *wowahwala*, spokoju i chęci nie-bycia agresywnym, ponieważ w koncepcjach tego, czym jest naprawdę religia Indian, znajduje się wiele błędów i przesady. Rzeczy, jakie mają miejsce w ceremoniach są realne i prawdziwe. Ten człowiek nie może was okłamać, to jedna z reguł fajki.

Przedstawiam Państwu Roberta Steada.

To przyjemność i zaszczyt być z wami. Mam nadzieję, że Wielki Duch będzie od dzisiaj z wami, bez względu na to, co robicie na tej ziemi. Niech pobłogosławi wam, waszym dzieciom i wszystkim waszym dążeniom i planom na tej ziemi, kiedy kroczycie po Matce Ziemi. Cieszę się, że jestem tutaj.

Miałem w sobie tę duchowość odkąd skończyłem osiem, dziewięć lat. Cokolwiek robię, na cokolwiek się koncentruję, do czegokolwiek dążę – wszystko zawsze przyjmuje taki obrót, jaki chcę. Gdy byłem małym chłopcem, na wiele sposobów nadużywałem swej duchowej mocy, nawet w szkole. Wykorzystywałem tę duchową moc, jaka była we mnie. Byłem doskonałym studentem bez uczenia się. Znałem odpowiedzi na wszystkie akademickie problemy, bez żadnej pracy. Nawet pomimo niskiego wzrostu i drobnej budowy, wyróżniałem się w lekkoatletyce, dystans 100 jardów pokonywałem w 9,8-9,9 sekundy, ponieważ modliłem się. W koszykówce chciałem być w pierwszej drużynie uniwersyteckiej. Choć byłem niski, byłem bardzo szybki. Wszystko to osiągałem dzięki duchowej mocy. Nadużywałem jej i wykorzystywałem niewłaściwie na wiele sposobów.

Gdy jednak przyszedł czas mego pójścia na wzgórze, byłem przerażony, bardzo przerażony, nie chciałem iść. Z jakiegoś powodu po prostu nie chciałem iść na wzgórze, aby zostać człowiekiem mocy, ale musiałem, ponieważ sprowadzili ośmiu ludzi mocy do rozstrzygnięcia, jaką świętość – czy cokolwiek to było – miałem w sobie. Powiedzieli mi, że zostałem wybrany, że muszę iść na górę.

Moja droga na to święte wzgórze była wyboista. Miałem tyle pożądań, mnóstwo przyziemnych pragnień, wiele złych zamiarów, pełno złych myśli, ale ciągle musiałem iść na to wzgórze. Przygotowywałem się przez cały miesiąc, przez szalas potu, post, modlitwę i inne praktyki. A głos ciągle mówił mi, abym to kontynuował. *Twój lud będzie cię potrzebował. Będzie cię potrzebował twój czerwony lud.* Nawet dzisiaj

czasami sam w to nie wierzę. Czasami jestem zdumiony. Dlaczego ja zostałem wybrany? Dlaczego ja, skoro tylu innych młodych ludzi pragnie być ludźmi mocy?

Na wzgórzu spędziłem cztery dni i cztery noce, bez picia, snu i jedzenia. Było to bardzo męczące. Wiele rzeczy przychodziło wtedy do mnie. Prosiły mnie, abym odszedł, bo nie jestem w stanie pomóc czerwonym ludziom tej ziemi. Przez cały czas jednak trzymałem fajkę. Moje usta były tak spękane, a gardło tak obrzmiało od braku wody, że nie mogłem oddychać.

Przez cały czas modliłem się do Wielkiego Ducha, do *Wakan Tanki*, ponieważ jest moim i waszym Stwórcą. Nasze życie obraca się wokół tego, co rośnie na Matce Ziemi, co On na niej umieścił. Nie możemy żyć bez powietrza, nie możemy żyć bez pożywienia. Musimy dbać o siebie, oswiecać. Otrzymaliśmy tylko po jednym, żadnego dodatkowego. Nasze ciało jest rzeczą świętą, jest Jego darem. Tym będziemy żyć, co spożywamy. Jeśli jest to coś złego, niedobrego dla naszego ciała, będziemy mieli powolną śmierć. Alkohol, narkotyki nie są odpowiednie do spożywania przez ludzi, ale zależy to od nas. Wszyscy chcemy żyć dłużej, wszyscy chcemy widzieć, jak dorastają nasze dzieci i wnuki. Od naszego wyboru trwania przy przewodnictwie Wielkiego Ducha zależy długość naszego życia. Dał nam zręczność, talent, wiedzę, mądrość. Musimy z tego skorzystać, bo są to Jego dary. Żyjemy dzięki trawie, jaką umieścił na tej ziemi. Zwierzęta jedzą trawę, żeby rosnąć, a my jemy ciała zwierząt, aby nasze ciała się rozwijały. Z naszych ciał powstają dzieci. Musimy zdać sobie sprawę, co Wielki Duch uczynił dla nas na tej ziemi.

Musimy się modlić, na wiele sposobów. Modlitwa to najpotężniejsza rzecz w naszym ciecie. Jeśli potraficie się modlić, idźcie sami na wzgórze i módlcie się z otwartym umysłem. Będziecie płakać, bo to jest szczere. Nie potraficie skoncentrować się na modlitwach z książkami, bo to nie ja je napisałem. Te słowa napisał ktoś inny. To nie są moje modlitwy. Nie mogę się modlić przy

ich pomocy. Ludzie nazywają mnie świętym, ludzie mówią o mnie różne nieprawdziwe rzeczy. Dzięki przewodnictwu Wielkiego Ducha, Jego radzie i sile mogę jednak nieść pomoc czerwonym ludziom.

Dzięki temu wszystkiemu jestem jednak pokorny. Jestem skromny wobec wszystkich ludzi. Nie przechwalam się, nie usiłuję na nikogo wpływać, żeby przyjął moją indiańską religię. Na tym wzgórzu pokazali mi, gdzie moi czerwoni ludzie przebywają po śmierci. Zostają na tej ziemi. Nasze ciała wracają do ziemi, ale duch żyje dalej. Duchy, z których pomocy korzystam, to ludzie mocy sprzed wielu, wielu lat, którzy za życia byli potężni ze swym lektem. Posiadam osiem leków, które mi pokazali, i jestem teraz jedynym, który zna te lecznicze korzenie i zioła. Jestem jedynym, który może pomóc naszym ludziom używając tych ziół i korzeni. To dzieło Wielkiego Ducha, że umieścił je na ziemi, aby ludzie mogli z nich korzystać. Zrobił wiele rzeczy, które ciągle pozostają dla nas tajemnicą.

Dzisiaj naszym bogiem jest pieniądź. Oto, czego chcemy. Pragniemy więcej pieniędzy. A co z duchowością? Co z rodziną? O to powinniśmy się starać, przed pieniądzem. A przede wszystkim, o Wielkiego Ducha, który pomógł nam na tej ziemi, który umieścił nas na niej. Wiele ludzi przychodzi do mnie po radę z odległych stron – zapraszają mnie do wielu rezerwatów. Byłem w trzydziestu trzech rezerwach. Jeździłem od jednego wybrzeża do drugiego, od Kanady po Nowy Meksyk na dalekim południu.

Pomagam ludziom stanąć znowu na nogach. Moją specjalnością są paralize. Sprawiam, że ludzie sparaliżowani znowu mogą chodzić, znów mają sprawne ręce i nogi. Ale to nie ja – to dzięki Wielkiemu Duchowi. Jest wielu opętanych ludzi. W nocy, zanim wyjechałem z domu, przeprowadzono mi chłopca z Kansas, który był opętany. „Panle Stead – powiedział – jest we mnie coś, co mówi mi, żebym zrobił coś złego, żebym kłui, uderzał. Coś we mnie, co mówi, abym go uderzył. Nie mogę

na to nic poradzić, ale muszę uderzyć.” Są ludzie umysłowo chorzy, psychicznie, nie mają spokoju. Dzięki duchowym drogom mogę im pomóc.

Wziąwszy to wszystko pod uwagę, myślę, że Wielki Duch jest we mnie i że duchy, które mam, są ze mną. Nie mogę iść się napić, nie mogę zrobić nic złego, nie mogę powiedzieć nic, co zraniloby ludzi. Wielki Duch dał mi rozum, dobry rozum. Nie chce, abym dyskryminował, abym był uprzedzony, abym rozsiewał złośliwe plotki. Nauczyłem się tego wszystkiego i jestem całkowicie pewien, że ludzie mogą iść na tej ziemi drogą dobra, a nie zła. Świętość, która jest we mnie, boli. Jednak muszę być posłuszny temu, co mi pokazali, czego mnie nauczyli, czego sam się nauczyłem. Na tej ziemi mamy tylko jedno życie. I jak mówię – na dobrych drogach możemy zrobić wiele dobrych rzeczy. Możemy mieć wiele dobrych dróg.

Może nie powinienem mówić tych rzeczy. Może niektórzy ludzie nie skorzystają z tego, co powiedziałem. Powiecie może, że to moja sprawa, moje życie a nie wasze. Ten, który was stworzył, może was zabrać stąd, fizycznie unicestwić. To zależy od was. Nikt nie jest święty na tej ziemi. Nikt nie jest święty, jedynie Wielki Duch. Dzięki niemu wszystko jest możliwe. Mój spacer po ziemi jest bardzo krótki. Robię z niego jak najlepszy użytek, pomagając swym ludziom, a także ludziom innych narodowości.

Dzisiaj jestem bardzo szczęśliwy będąc z wami i mam pewność, że Wielki Duch będzie was prowadził, umacniał i dodawał odwagi, że pobłogosławi wasze małżeństwa, waszych ojców i matki, wasze babki i wszystkich krewnych, tak że będziecie mogli mieć dobre życie na tej ziemi. Chcę zakończyć prośbą do Wielkiego Ducha, żeby was prowadził, żeby pobłogosławił wasze domy, abyście mogli iść ramię w ramię z waszymi dziećmi po Matce Ziemi, abyście byli błogosławieni, gdy idziecie przez życie dobrą drogą. □

Robert Stead

Przetłumaczył Dariusz Pohl

Nie rozstrzygnięte starcia nad rzeką Prochową i potokiem Pączka Róży stanowiły strategiczne preludium do klęski na Wzgórzu Custer

Cornelius C. Smith, Jr.

Crook i Szalony Koń

Spytajmy pierwszego lepszego ucznia, kto był największym pogromcą Indian, a z niejśca odpowie: generał Custer. George Armstrong Custer, pomimo dziewięćdziesięciu* lat nieprzerwanych sporów jest wciąż tak sławną jak był barwną i kontrowersyjną postacią. Czy był równie rozważnym dowódcą, to inna rzecz, jak widać to po odrzuceniu przezeń rady generała Alfreda Terry'ego aby złączył się z generałem Johnem Gibbonem przed atakiem na Szalonego Konia i Siedzącego Byka owego fatalnego czerwcowego dnia 1876 roku. Popędliwość i nieograniczona wiara w siebie kazały Custerowi próbować samemu.

Rozpatrując to wydarzenie i wystrzegając się nadmiernych uproszczeń wciąż mamy poważne trudności z określeniem, gdzie kończy się rzeczywistość, a zaczyna fantazja. Prawda i legenda tak mocno się splatają wokół ostatniej bitwy Custer, że pierwsza często przysłania drugą. Zadziwia też fakt, że cały ów okres kojarzymy sobie z klęską – najbardziej dotkliwą klęską, jaka mogła się wydarzyć.

Tamtego ponurego dnia zginęło nad Little Bighorn dwustu sześćdziesięciu trzech ludzi, a jednak w powszechnej znajomości

* Publikowany tu artykuł z ilustracjami Autora ukazał się w „Montana. The Magazine of Western History” Vol. XVI, No. 2, wiosna 1966. Drukujemy go w „Tawacinie” za uprzejmą zgodą Montana Historical Society.

wojen toczonych na Równinach, George Armstrong Custer wciąż uchodził za bohatera. Może to nierówność sił przemawia do wyobraźni. Można zakwestionować jego taktykę, ale nigdy jego odwagi. Od razu nasuwa się tu myśl o Termopilach i Alamo, o garści walecznych, opierających się przynalatającej przewadze.

Było wówczas wielu innych żołnierzy walczących z Indianami Równin, przeciętnych i błyskotliwych. Uczyniliśmy dotąd sporo, aby zapomnieć o większości z nich. Uczeń szkolny (o ile nie jest jakimś wyjątkiem) nie wymieni nazwisk Carringtona, Milesa, Crooka, Terry'ego, Gibbona, Fettermana, Powella, Baldwina czy Mackenzie'ego. Godne to ubolewania, gdyż ci dowódcy z pogranicza oraz im podobni pomogli napisać jeden z najpiękniejszych rozdziałów naszej historii.

Niezbędne to do zrozumienia ostatniej bitwy Custer, stanowiły mało znane starcia nad Rzeką Prochową (Powder River) i Potokiem Pączka Róży (Rosebud Creek). Były one w gruncie rzeczy kluczowymi bitwami. Gdyby potoczyły się inaczej, nie doszłoby do klęski nad Little Bighorn. Poniżej opowiemy krótko o tych decydujących, lecz w dużej mierze zapomnianych bitwach. Wiążą się one nierozdzielnie z imionami generała Crooka i wodza Szalonego Konia.

Generał Crook swój chrzest bojowy w walkach z Indianami przeszedł na terytorium Oregonu przed wojną domową. Po błyskotliwych wyczynach (pokonał między innymi w Tennessee kawalerię Joe Wheelera) wyszedł z niej ze stopniem generała majora dowodząc wiosną 1865 roku jedną z kawaleryjskich dywizji generała Phila Sheridana. Skierowany w 1871 roku do zwalczania Apaczów z Arizoną potrafił zwyciężyć tak znakomitego przeciwnika. Przebywał tam do 1875 roku, kiedy wyruszył na północ poskramiać Siuksów i Szejenów.

W ostatnich latach wielu znawców tematu uznało Szalonego Konia za największego geniusza militarnego narodu Siuksów. Dziwnym zdarzeniem nie zachowała się żadna jego podobizna¹. Ci żołnierze i osadnicy, którzy go znali lub widzieli, opisywali go jako mężczyznę przystojnego, zachowującego się z rezerwą, dumnego i darzącego białych niezmienną pogardą. Po raz pierwszy zwrócił na siebie uwagę, gdy u boku Czerwonej Chmury wziął udział w walce z Fettermanem, dowodząc harcownikami, którzy wciągnęli w zasadzkę tego oficera koło fatalnego Pasma Śladu Szalasu (Lodge Trail Ridge) w 1866 roku. Generał Miles widział w nim „uosobienie indiańskiego okrucieństwa”. Był prawdziwym przywódcą, który od swych wojowników nie wymagał więcej niż od siebie samego. Współplemińcy darzyli go najwyższym szacunkiem. Wśród walecznych Indian z zachodu nie było większego wojownika od Szalonego Konia z plemienia Siuksów Oglala.

Rzecz zastanawiająca, że ci dwaj wojownicy spotkali się tylko w bitwie nad Pączkiem Róży. Nad rzeką Prochową Crook wysłał pułkownika J.J. Reynoldsa, aby wyszedł obóz Szalonego Konia i właśnie ten oficer stoczył bitwę z Siuksami. Jednakże Crook dowodził całą wyprawą, więc on ponosi odpowiedzialność za jej niepowodzenie.

Obydwa te starcia – nad rzeką Prochową i Pączkiem Róży – przygotowały grunt pod

1. Nie potwierdzono autentyczności żadnego zdjęcia Szalonego Konia. Publikowana najczęściej podobizna (zob. str. 11) przedstawia w rzeczywistości wojownika Siuksów o imieniu Crazy In The Lodge – przyp. red.

bitwę nad małą Rzeką Owcy Wielkorogiej (Little Bighorn River) i zadecydowały o okrucieństwie, z jakim została stoczona. To, że tak niewiele osób wie dzisiaj o nich, trzeba przypisać przede wszystkim temu, że prawie natychmiast przysłonił je cień padający ze Wzgórza Custer – miejsca wstrząsającej klęski z dnia 25 czerwca 1876 roku.

Przyjrzyjmy się teraz scenie dramatu, a w tym celu powrócimy do traktatu z fortu Laramie w 1868 roku. Przyznawał on Siuksom i Szejenom tereny pomiędzy rzekami Północną Platte (North Platte) na południu i Żółty Kamień (Yellowstone) na północy a Górami Owcy Wielkorogiej (Bighorn Mountains) na zachodzie i Czarnymi Wzgórzami (Black Hills) na wschodzie. Język tego perfidnego traktatu roił się od poetyckich sformułowań. Kraj obiecany Indianom miał być ich łowiskami tak długo „jak długo rosną trawy i płyną rzeki”. Rząd uroczyście przyrzekał, a jego biali współobywatele odrzucali postanowienia umowy. Niemal od początku myśliwi, traperzy, górnicy, rolnicy i rybacy nadciągali na zakazane terytorium.

Oburzeni niedotrzymaniem układu Indianie zaczęli odpłacać się tym samym, wysyłając wyprawy na przyległe tereny, nie objęte rozmowami w Laramie. Ludzie Czerwonej Chmury i Pstrego Ogona osiedleni już w rezerwatach, choć zachowywali się spokojnie, byli ponurzy i coraz częściej narzekali. Niezależni wodzowie, jak Siedzący Byk i Szalony Koń wciąż wędrowali po Równinach, a wraz z nimi wielu Szejenów przedkładających bizonie mięso nad robaczywą wieprzowinę i spleśniałe suchary. W miarę upływu czasu stosunki pogarszały się i dochodziło do coraz częstszych najazdów.

W roku 1872 pomiary Kolei Północnego Pacyfiku, wiodącej na zachód z terytoriów Dakoty i Minnesoty, należało prowadzić pod osłoną wojska. Wszędzie nad rzeką Żółty Kamień dochodziło do napadów na jej robotników. W kilku takich potyczkach wziął udział Custer. Pewnego razu przepływał rzeką, aby dojść Siuksów stojących na przeciwnym brzegu. Ci jednak pomyśleli



General George Crook

o tym samym i pognali swe konie przez rzekę, by zaczekać nań w dolnym jej biegu i zaatakować go od tyłu. W tej potyczce zastrzelono konia pod Custerem i zginął jego ordynans.

W 1874 roku John M. Bozeman na czele grupy górników wtargnął na tereny przyznane Indianom. Przy spotkaniach z wędrującymi wśród wzgórz Szuksami zawsze dochodziło do zaciekłych walk. Dzięki swej liczebności i organizacji górnicy wychodzili na ogół zwycięsko z tych starć. W pewnym sensie grupa Bozemana była wyprawą. Posiadał zaprzęg wołów oraz wozy z zaopatrzeniem, toteż mógł opierać się silnym i częstym atakom. Szuksowie przez miesiąc szli za nim trop w trop krążąc w bezpiecznej odległości i od czasu do czasu spadali na karawanę w nadziei zadania ciosu. Schwytanego wojownika ludźle Bozemana torturowali i kalectyli podobnie jak Szuksowie swolch jeńców. Żadna ze stron nie okazywała litości i żadna o nią nie prosiła.

Rozdrażnienie Indian sięgnęło szczytu, gdy w tym samym 1874 roku Custer udał się na zbadanie Czarnych Wzgórz. Jego oficjalne raporty oraz doniesienia będących z nim geologów i dziennikarzy wywołały na wschodzie gorączkę złota. Pisał, że na Terytorium złoto „spoczywa pod korzeniami trawy”. Było to zaproszeniem dla białych, przekleństwem dla Indian. Patrzyli teraz jak szarańcza osadników spada na ich święte tereny łowieckie. Od razu zdawano sobie sprawę z charakteru wyprawy Custer – była to wojskowa misja zwładowcza. Miał ze sobą tysiąc dwustu żołnierzy i sześćdziesięciu indiańskich zwładowców, a jego zadaniem było utrzymanie pokoju na tym obszarze. Indianie widzieli jednak tylko coraz więcej białych spływających falą na ich ziemię i ryjących w górach, a także żołnierzy parających się oskardem i łopatą. Pomimo tych zarzutów, prawdą jest, że żołnierze potrafili zatrzymać wielu cywilnych górników i odesłali ich z pustymi rękami. W kilku przypadkach doszło do użycia siły, zniszczono baraki i sprzęt przybyszów. Bardziej upartych górników przekazywano czasem władzom cywilnym do osądzenia, lecz wyrok brzmiał niezmiennie: niewinny. Zwalniani nie tylko wracali do kopania, ale i zabierali innych ze sobą.

W czerwcu 1875 roku powołano komisję mającą nabyć od Indian prawo do wydobywania kruszcu. Ofiarowywała ona czterysta tysięcy dolarów rocznie za dzierżawę ziem przyznanych im traktatem lub sześć milionów za ich pełne i stałe wykorzystywanie. Indianie odmówili stanowczo ustalając cenę sprzedaży na pięćdziesiąt milionów. Żadna ze stron nie chciała ustąpić. Politytowani komisarze pisali do Waszyngtonu: *Sądzimy, że nastroje Indian nie prędkiej się zmienią, aż zdadzą się oni na łaskę i niełaskę rządu*. Ofiarowanie pieniędzy – nawet małych – zawsze wydawało się białym czymś dobrowolnym i honorowym.

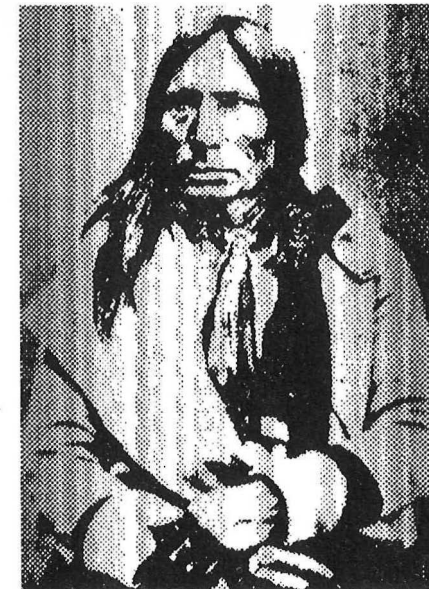
Indianie nie przejawiali najmniejszej ochoty do sprzedania *Pa Sapa* – świętych terenów Szuksów. Obradom przysłuchiwało się ich śledem tysięcy i większość nie ukrywała wrogości do wysłanników

rządu. Gdyby niewstawiennictwo Młodego Człowieka Bojącego Się Swych Konii komisarze mogliby zginać na miejscu. Pstry Ogon proponował wyższą cenę wywoławczą. Cętkowany Niedźwiedź mówił o siedemdziesięciu milionach dolarów. Czerwona Chmura żądał nie tylko pieniędzy, ale i zapewnienia, że Wielki Biały Ojciec będzie zaopatrywać w żywność jego współplemieńców przez następnych kilka pokoleń. Mały Wielki Człowiek głosił, że wojna, zaś Szalony Koń trzymał się wyniośle z dala od tych przyziemnych targów.

Mimo wysiłków wojska blisko jedenaście tysięcy górników osiadło w Czarnych Wzgórzach na jesień 1875 roku. Sprawy zaczynały zbliżać się ku końcowi. W czasie zimy Szuksowie ze wszystkich agencji znad Missouri i z obozów Czerwonej Chmury i Pstrego Ogona z Nebraski zaczęli snuć plany złączenia się z Siedzącym Bykiem i Szalonym Koniem. Nadszedł czas nieuniknionego już starcia.

Strategia wojska zakładała wystanie przeciw wrogom trzech oddzielnych kolumn mających uderzyć wówczas, gdy Indianie nie będą mogli stawiać większego oporu. Pod koniec zimy konie Szuksów były wychudzone i słabe, zaś wojownicy pochłonięci wyszukiwaniem żywności dla swolch. Custer miał ruszyć na nich ze swej kwatery w forcie Abraham Lincoln, generał George Crook z fortu Fetterman, zaś generał John Gibbon z fortu Ellis. Jak się jednak okazało, niezwykle mrozy wstrzymały wymarsz Custer i Gibbona, i tylko Crook wyruszył zgodnie z planem.

1 marca 1876 roku opuścił fort Fetterman na czele kompanii A, B, E, I oraz K Drugiego Pułku Kawalerii i kompanii A, D, E, F i M Trzeciego Pułku. Miał również ze sobą dwie kompanie Czwartego Pułku Piechoty oraz przewodników, woźniców i tragarzy, łącznie dowodząc blisko dwięćset ludźmi. Szefem zwiadu był oryginał z pogranicza, Frank Grouard, stojący na czele piętnastu cywilnych zwładowców. Przy oddziale przebywało dwóch dziennikarzy: Robert Strahorn z „De-



Spośród wielu Indian, których fotografował Stanley J. Morrow, *Crazy In The Lodge* bardzo szybko zdobył szeroki rozgłos i zresztą nadal go zdobywa, bo autorzy licznych książek, przedstawiając jego portret, mieli i nadal mają błędne mniemanie, że jest to Crazy Horse. Na odwrocie stereoskopowej karty Morrowa można zobaczyć wyraźnie wydrukowany napis: „CRAZY-IN-THE-LODGE, HEAD WARRIOR UNDER SPOTTED TAIL” („Szalony W Domu, główny wojownik pod wodzą Pstrego Ogona). Niestety nie znana jest autentyczna fotografia Szalonego Konia, bez wątpliwa jednego z najsławniejszych Indian.

nver News” i major I.H. Stanton, będący nominalnie płatnikiem, a teraz obowiązany przesyłać władomości dla kilku gazet na wschodzie.

Kampania okazała się krótka i zawiódła oczekiwania. Crook, dowodzący wówczas Departamentem Platte, miał odnaleźć i zająć obozy Szalonego Konia, Siedzącego Byka i Małego Wielkiego Człowieka leżące, jak sądzono, nad rzekami Prochową, Pączka Róży i Języka (Tongue River).

Wyprawa od początku napotykała same trudności. Te same mrozy, które wyłączyły z akcji Custer i Gibbona, omal nie wstrzymały i Crooka. Pierwszego dnia termometr wskazywał dwadzieścia sześć stopni poniżej zera. Oddział szedł całą dobę, aby

zaskoczyć wieś Siuksów. Zupełnie zaskoczeni obrońcy mogli tylko uciec i przypa-trywać się z oddali niszczeniu swych tipi i zagarnianiu koni. Później jednak zdołali je odzyskać. Zabitych w walce dwóch żołnierzy pochowano w rzece. W lodzie grubości dwóch stóp wyrąbano przerębel i cała zabrała woda.

Idąc starym Szlakiem Bozemana Crook dotarł 7 marca do Potoku Szalonej Kobiety (Crazy Woman Fork). Stąd odesłał swój tabor pod ochroną piechoty do fortu Reno. Od tej chwili uczestnicy wyprawy nieśli tylko odzież, jaką mieli na sobie oraz po płaszczu ze skóry bizona i dwa koce na osobę. Wydawanie żywności ograniczono do połowy racji dziennie. Należało zachować siły, a od swobody marszu zależało powodzenie wyprawy. Żołnierze mogli poświęcić całą uwagę Siuksom bez martwienia się o stratę zapasów. Zaledwie kilka lat wcześniej słyszano się wciąż przechwałkę, że parę kompanii doświadczonych żołnierzy może „przejechać po całym narodzie Siuksów”. Chcący ją spełnić – i działający wbrew rozkazom przełożonych – kapitan William J. Fetterman zginął w zasadzce wraz z całym swym oddziałem. Na znak pogardy wojownik Siuksów zastrzelił z łuku nawet ulubionego psa żołnierzy, który wybiegł za nimi z fortu Phil Kearny. Odtąd Indianie zyskali należny im szacunek. Siuksowie i Szejenowie dysponowali też dobrą bronią, a wielu z nich potrafiło dobrze strzelać z wielostrzałowych winchesterów.

Teraz Crook zwrócił się na północny zachód ku rzece Języka, a po dotarciu do niej ruszył w dół z jej biegiem do ujścia Potoku Czerwonej Gliny (Red Clay Creek). Grouard w swym oficjalnym raporcie mówi, że obóz rozbito dalej, przy ujściu Potoku Wydry (Otter Creek). Tutaj kolumna zatrzymała się i Crook rozesłał patrole w celu zbadania okolic Pączka Róży na północ od Yellowstone. Nie znaleziono żadnych śladów i zwiadowcy musieli zrobić co tylko w ich mocy, aby obronić się przed mrozami okrutnej późnej zimy na Równinach. W końcu, podczas jednej z wycie-

czek, Grouard znalazł świeże ślady koni wiodące ku rzece Prochowej. Generał postanowił pójść za nimi. Mogły to być ślady jakichś myśliwych, mogły prowadzić do wioski Szalonego Konia. Jedynym sposobem przekonania się o tym było podjęcie tropu.

16 marca Crook podzielił swój oddział. Śladem Indianских koni posłał pułkownika J.J. Reynoldsa wraz z kompaniami E, I oraz K z Drugiego Pułku Kawalerii i kompaniami E, F i M z Trzeciego. Po odnalezieniu wioski Reynolds miał zaatakować i „strzelać do wszystkiego, co się rusza”. Generał zatrzymał przy sobie cztery kompanie jazdy i resztę jednostek jej towarzyszących. Następnego wieczoru Reynolds miał się z nim złączyć na umówionym miejscu nad Potokiem Namiotowej Tyczki (Lodge Pole Creek). Późnym popołudniem 16 marca ruszył ku rzece Prochowej, gdzie dotarł po całonocnej jeździe.

Pogoda pogarszała się. Było tak zimno, że zawiódł termometr. Większość ludzi cierpiała na odmrożenia. Rzadko który uniknął wściekłych ukąszeń mrozu nękającego kolumnę. Stopy, twarze, palce si- niwały i drętwiały od przeraźliwego zimna. O czwartej nad ranem zatrzymano się na spoczynek. Kiedy trzeba było ruszać znowu, oficerowie i sierżanci musieli przywracać do świadomości przemarzniętych do kości żołnierzy. Jeszcze trochę, a odpoczywający w półśnie szeregowcy nie zbudziliby się z niego nigdy.

Przed świtem 17 marca Grouard dostrzegł wioskę na zachodnim brzegu rzeki Prochowej. Był to obóz Szalonego Konia², w którym znajdowali się też Pies, jego współplemieniec oraz Dwa Księżycy z plemienia Szejenów. Liczył sobie blisko sto namiotów zamieszkałych przez sześćset osób. Reynolds pamiętał o swych rozkazach, lecz trudno je było wykonać. Śnieg leżał wokół w głębokich zaspach i żołnierze stanowiliby łatwy cel na jego tle. Prócz tego musieliby schodzić do obozu po niezwykle

2. Była to wioska Szejenów Starego Niedźwiedzia, w której gościli też Ogłala pod wodzą Psa; łącznie przebywało tam blisko dwustu wojowników z rodzinami.

stromym zbocz. Było ono skute grubą powłoką lodu i żołnierze z trudem chronili konie przed upadkiem. Wioska znajdowała się blisko trzystu metrów niżej.

Reynolds postanowił rozdzielić swe siły. Jeden oddział ruszył na śpiących Indian, drugi miał zagarnąć stado koni, zaś trzeci stanąć na wyznaczonych pozycjach i strzelać do wymykających się wojowników.

Pierwszy zetknął się z wrogiem szwadron K z Drugiego Pułku Kawalerii dowodzony przez kapitana Theodore Eagana. Z pewnością powiodłoby mu się lepiej, gdyby dysponował tą bezcenną przewagą, jaką stanowi zaskoczenie. Jego żołnierze dochodząc do krańca wioski zetknęli się nieoczekiwanie z chłopcem pojmującym konie. Przez chwilę chłopak stał bez ruchu, a potem wydał nagle przenikliwy okrzyk. Choć padł od razu od pistoletowej kuli, spełnił swój obowiązek. Mieszkańcy wioski zerwali się na nogi i zaczęli wybiegać z namiotów.

Żołnierze runęli w głąb obozu posyłając salwy z pistoletów w pustoszące tipi. Okrzyk chłopca ostrzegł napadniętych

w samą porę. Większość z nich – w tym blisko czterysta kobiet i dzieci – umknęła w góry po północnej stronie wioski. Tam mężczyźni zatrzymali się i jeśli skutecznym ogniem zasypywać szeregi atakujących.

Zagarnięto stado blisko tysiąca koni³ i przez chwilę wydawało się, że wojownicy znaleźli się w poważnych kłopotach. Jednak żołnierze wyznaczeni do pilnowania stada, wyczerpani długim marszem i walką, zaczęli marznąć na stanowiskach zajętych na jego obwodzie. Niektórzy też chyba się zdrzemnęli, gdyż rankiem 18 marca kilku wojowników wślizgnęło się między konie i rozpędziło większość z nich. Ten jeden manewr przekształcił ich klęskę w taktyczne zwycięstwo. Brak koni sparaliżował ich ruchy, zostali otoczeni i wybiti. Mając je znów byli niebezpieczni i mogli podjąć walkę. Doszło do niej w trzy-nastcie tygodni później i żaden żołnierz z oddziału Custer'a nie przeżył, by móc o niej opowiedzieć.

3. Stado liczyło sześćset – osiemset koni.



zetknęli się nieoczekiwanie z chłopcem pojmującym konie...

Oddział kapitana Millsa zaczął palić namioty, lecz wkrótce zaprzestano tej taktyki. Wiele tipi wylatywało w powietrze, gdy ogień trawił znajdujące się w środku skrzynki z amunicją i beczki z prochem. Cała wioska była jednym wielkim arsenałem.

Przed południem wioska była już całkowicie w rękach żołnierzy. Oprócz materiałów wybuchowych znaleźli w niej jeszcze tony suszonego mięsa, beczki kawy i maki, skóry, koce, siodła, a nawet załadowane po brzegi *travots*, gotowe do drogi. Reynolds rozkazał zgromadzić to wszystko na stos i podpalić, lecz wykonanie rozkazu okazało się nader trudne. Mięso i skóry zajmowały się i paliły bardzo wolno. Od czasu do czasu ukryta pod bizonią skórą beczulka z prochem rozrywała się z hukiem, raniąc wszystkich dookoła. Przez cały czas Indianie ogniem z góry nękali krzających się żołnierzy.

Reynolds ponaglał pracujących, gdyż chciał się spotkać z Crookiem u ujścia potoku Namiotowej Tyczki. Wiele jego oficerów i żołnierzy uważało, że powinni pozostać w wiosce i posłać po generała, lecz nie uczynili tego. Około drugiej trzydzieści po południu, 18 marca zebrał oddział i wyruszył na umówione miejsce. Jak tylko się oddalił, Indianie powrócili do wioski ratować co się da ze zgłiszcz. Niewiele tego zostało, lecz dzięki swej brawurowej akcji przy odbiciu koni Szalony Koń sprawił, że Crook znowu się znalazł w punkcie wyjścia.

Reynolds zrobiłby lepiej gdyby pozostał w wiosce. Nie znalazł na umówionym miejscu Crooka, który znajdował się dwanaście mil dalej na północny wschód. Oba oddziały złączyły się pod koniec dnia i powróciły do fortu Fetterman.

Podczas bitwy zginęli czterej szeregowcy: Schneider z kompanii E Drugiego Pułku Kawalerii oraz trzej szeregowcy z Trzeciego Pułku: Peter Dowdy z kompanii E, Michael McCannon z kompanii F i Lorenzo Ayers z kompanii M. Jeden oficer i pięciu żołnierzy odniosło rany.

Bitwy nie można było w żadnym wypadku uznać za wygraną. W raporcie do Ministra Wojny z dnia 7 maja 1876 roku

Crook utrzymuje, że pierwsza część spotkania przebiegła pomyślnie. Zajęto wioskę, zagarnięto zapasy i całe stado koni. Później sytuacja zaczęła im się wymykać spod kontroli. Kwestionował celowość spalania zapasów. W arktycznym chłdzie zimy na Równinach bizonie skóry, koce i żywność decydowały o przeżyciu. Gdyby mieli po temu możliwość żołnierze zrobiliby właściwy użytek z tych zapasów, pozabawiając ich jednocześnie Indian. Najgorszym ze wszystkiego była utrata raz zdobytego już stada. W oczach wojska stanowiło to niewybaczalny grzech.

Dwóch oficerów czekał po bitwie sąd polowy. Dowodzący szwadronem I Drugiego Pułku, kapitan Noyes nakazał z jakiejś przyczyny rozsiadłać konie w toku walki. Dlatego żołnierze nie mogli w takich warunkach wykonać od razu poleconego im przeciwdzierzenia. Noyesa uznano winnym i ukarano naganą podaną do wiadomości w rozkazie ogólnym. Pułkownik Reynolds sądzony w Cheyenne w 1877 roku został uznany winnym zaniedbania obowiązków w obliczu nieprzyjaciela. Zawieszono go w pełnieniu obowiązków na rok. Z uwagi jednak na jego nienaganną dotychczas służbę, prezydent Grant nie uznał wyroku. Przeciwnie, Reynolds został dyplomowanym generałem majorem i w czerwcu 1877 roku przeszedł na emeryturę.

Starcie nad rzeką Prochową, dalekie od ujarzmienia Szalonego Konia, dołało tylko oliwy do ognia. Doszło do kolejnych napałów na karawany wozów i kolejne osiedla poszły z dymem. Przenikliwe mrozy sprawiły, że wojsko zarzuciło wszelkie działania. Przeżywało też niezmiernie kłopoty z naborem żołnierzy. Wiele z nich nie chciało się powtórnie zaćmgnąć, niektórzy nawet dezertowali. W ogniu walki nad rzeką Prochową trzeba było porzucić ciało szeregowca Ayersa. Później znaleziono go w groteskowej pozycji na śniegu, starannie oskalpowanego. Niechętni służbie żołnierze z łatwością wyobrażali sobie w takiej samej sytuacji. W każdym razie, nabór do szeregów zmniejszył się zastraszało. Sytuacja stawała się rozpaczliwa. Każdy żoł-

nierz w Departamencie Platte miał stawić się na letnią kampanię przeciw Szalonemu Konowi i Siedzącemu Bykowi.

Czując, co wisi w powietrzu, Siedzący Byk zwołał w kwietniu wielką radę. Odbyła się ona koło Kredowych Wzgórz (Chalk Buttes) nad rzeką Języka, a uczestniczyli w niej też Szalony Koń, Dwa Księżyce i Pies. Palali chęcią zemsty i chcieli wyrównać swe rachunki z Reynoldsem i Crookiem. Zjawili się też Indianie z rezerwatów – Siuksowie, Szejenowie i Arapaho. Kiedy potężny obóz przeniesiono na lepsze łowiska, nadciągnęli dalsi współplemieńcy. Czarny Łoś, Wielka Droga, Żółć, Cętkowany Orzeł, Ślęgający Chmur, Stary Niedźwiedź – oni i jeszcze inni prowadzili swych dumnie kroczących wojowników na polowanie i na radę. Oba obozy gotowały się do wojny. Kiedy Indianie przy ogniskach narad przygotowywali swe wojenne amulety, żołnierze również myśleli o bitwie.

26 maja 1876 roku generał Crook znów wyruszył na szlak wraz z tysiącem dwustoma ludźmi. Generał Terry miał pod sobą około tysiąca żołnierzy, zaś generał Gibbon blisko czterystu pięćdziesięciu.

Była to największa siła, jaką wystawiono przeciw narodom Siuksów i Szejenów. Szalony Koń ostrzegł Crooka, że dalszy pochód w głąb kraju Siuksów przyniesie zagładę wojsku. Crook jednak szedł przelewać krew; tym razem miało już nie dochodzić do marnowania korzystnych sytuacji. Kierował się wprost na Szalonego Konia i innych wodzów wraz ze wszystkim, co miał pod ręką.

Niemal codziennie kolumnę Crooka nękali grasujący w pobliżu wojownicy Siuksów. Swą bazę zaopatrzeniową założył nad Potokiem Pieska Prerlowego (Prairie Dog Creek), tuż przy jego ujściu do rzeki Języka. Nawet i tutaj nie miał jednak spokoju, gdyż Siuksowie zewsząd podpalali trawy, ostrzeliwali żołnierzy i płoszyli konie. Generał spędził w obozie kilka dni czekając na blisko dwustu świeżo zwerbowanych Wron i Szoszonów⁴. Kiedy zwiadowcy nadeszli, cały oddział skierował się dwadzieścia mil dalej do nowej bazy nad Gęsim Potokiem (Goose Creek).

4. Wrony dostarczyli Crookowi stu siedemdziesięciu sześciu zwiadowców, a Szoszonosi osiemdziesięciu sześciu.



poszły w nich tomahawki, maczugi, włócznie i kolby karabinów...

Kiedy Crook ruszył naprzód, Indianie przenieśli swój obóz znad Pączka Róży w górę Jeslonowego Potoku (Ash Creek). Tutaj odbył się Taniec Słońca, aby dzięki niemu doświadczyć wizji mającej pomóc w zbliżającym się starciu. Siedzący Byk ponacinał swe ramiona ostrym nożem i wyrzucając kawałki ciała wpatrywał się w słońce czekając na znak. Padł osłabiony zawrotami głowy i upływem krwi. Kiedy się ocknął, opowiedział zgromadzonym wodzom o swej wizji. Wielu żołnierzy wjeżdżało do jego obozu głowami do dołu. Było to zapowiedzią indiańskiego zwycięstwa.

16 czerwca Crook wraz z całym oddziałem przekroczył rzekę Języka. Po całonocnym marszu kolumna stanęła na noc nad Pączkiem Róży. Kiedy wznowiła go o świcie, spostrzegli ją zwładowcy Szalonego Konia, z miejsca zawiadamiając o tym wodza. Ten się nie przejął nowiną. Połączył już swe siły z Sledzącym Bykiem i innymi przywódcami; ich słów słuchało prawie sześć tysięcy wojowników.

Okolo ósmej nad ranem 17 czerwca przednia straż Crooka natrafiła na opór, o czym zaświadczył bliski grzechot strzałów karabinowych. Wkrótce nadjechał galopem Wrony i Szoszon! krzycząc: „Nadciąga kupa Siuksów!” Na karkach zwładowców pędzili wrogowie, setki Siuksów i Szejenów przybranych w półropusze, pomalowanych i wznoszących przeraźliwe okrzyki. Pierwsza ich fala liczyła blisko tysiąc ośmiuset wojowników. W rezerwie, na wzgórzach czekało dalszych cztery tysiące dwustu. Na polu walki nastąpiło straszliwe zamieszanie, rozpoczęła się bitwa nad Pączkiem Róży.

Major Royal pospieszył z kilkoma szwadronami odeprzeć atak z tyłu, kapitan Mills ruszył naprzód. Tego rozdzielenia sił oczekiwał Szalony Koń. Wojownicy cofnęli się zanim obie kolumny kawalerii posunęły się za nimi. Mills wyczuł pułapkę i stanął w miejscu. Posłał wiadomość do Crooka opisując mu swe położenie. Ten zawahał się na chwilę, porównując pozycję kapitana do przyjętej przez siebie strategii. Obecny tam, podobnie jak nad

rzeką Prochową, zwładowca Grouard miał podobno powiedzieć: „Generale, nie jestem tchórzem, ale nie jestem też głupcem. Jeśli dotrą oni do wioski, zaniosę im Pański rozkaz, ale nie wsadzę głowy tam, skąd jej potem nie wyciągnę.” Crook wysłał więc posłańca do kapitana Noyesa, by ruszył z pomocą wysuniętemu Millsovi. Noyes zjawił się w samą porę. Oba oddziały walczyły rozpaczliwie o życie. W zaciętej walce wręcz poszły w ruch tomahawki, maczugi, włócznie i kolby karabinów. Podczas największego jej nasilenia Mills otrzymał rozkaz do ataku na wioskę. Spełniając go ruszył wózem noszącym adekwatną nazwę Kanionu Trupa (Dead Canyon). Szedł nim ostrożnie, podczas gdy Noyes ubezpieczał mu tyły. Kiedy dochodził do miejsca, skąd nie było już odwrotu nadjechał pełnym galopem kapitan Nickerson. Przybywał z rozkazem wycofania się i rozkaz ten jeszcze raz dotarł w ostatniej chwili. Jeszcze gdy Nickerson rozmawiał z Millsem, duże oddziały wrogów pojawiły się tuż na ich tyłach całkowicie zamykając wyjście z kanionu. Żołnierze ledwo wywalczyli sobie odwrót. Okazało się później, że gdyby kolumna posunęła się dalej o kilka metrów zostałyby uładowane kłodami puszczanymi z góry, z obydwu stron wozu. O ucieczce nie byłoby co marzyć. Kiedy Mills uszedł ze swym oddziałem, Szalony Koń wstrzymał pościg.

Bitwa skończyła się, choć obydwie strony jeszcze o tym nie wiedziały. Straty Indian w bitwie nad Pączkiem Róży nie są znane. Jak zwykle rannych i zabitych towarzysze unieśli z pola walki⁵. Tego wieczoru Szoszon! wrócił do obozu z kilkoma ociekającymi krwią skalpami. Również nie ma zgody co do strat poniesionych przez oddział Crooka. Niektórzy historycy mówią o dziewięciu zabitych i dwudziestu siedmiu rannych, ale kapitan John Bourke, uczestnik bitwy podaje, że zginęło dzie-

5. Jak twierdził później Szalony Koń, zginęło trzydzieści sześciu Indian, zaś sześćdziesięciu trzech odniosło rany.

więciu żołnierzy, czterdziestu ośmiu odniosło rany⁶.

Crook powrócił do swej bazy nad Gęsim Potokiem. W danych okolicznościach nie mógł uczynić wiele więcej. Szalony Koń i Sledzący Byk przenieśli się do doliny malej rzeki Owcy Wielkorogiej (Little Big-horn). Sprawdzili się w walce, poczuli swą siłę. Jeśli zlenawidzeni biali nie mogli im zrobić więcej krzywdy niż nad Prochową i Pączkiem Róży, to nie ma się czego obawiać. Zwycięstwo uczcili tańcem skalpów trwającym kilka dni.

Nikt w oddziale tysiąca czterystu żołnierzy utraty dziewięciu towarzyszy nie uważał za katastrofę, ale w obozie Crooka panował nastrój przygnębienia. Nie wszystko jeszcze się skończyło, czekały ich dni dalszej walki, ale szansa, którą otrzymali, umknęła im. Trzeba jej było szukać gdzie indziej, na polu innej bitwy.

Gdyby Crook odniósł decydujące zwycięstwo nad Pączkiem Róży, nie byłoby bitwy nad małą rzeką Owcy Wielkorogiej. Może nie dopuszczał do siebie myśli o pokonaniu sześciu tysięcy wrogich wojowników, może wypadki nad rzeką Prochową uczyniły go zbyt ostrożnym. Dwa razy wojownicy Szalonego Konia stawili czoła frontowym żołnierzom, dwa razy też wycofali się, by walczyć jeszcze raz.

Osiem dni później, 25 czerwca 1876 roku, generał George Armstrong Custer spotkał tych samych Indian w miejscu odległym o niecałe czterdzieści mil od Pączka Róży. Wszyscy znają historię tego fatalnego spotkania. Jediną istotą, która uniknęła śmierci z rąk Siuksów był ognisty wierzchołek kapitana Mylesa Keogha, zwany „Komanczem”. Kudłaty, zwładowca z plemienia Wron, przydzielony do oddziału Custer, który przekazał tragiczne wieści, znajdował się zbyt daleko od miejsca bitwy, aby brać go tutaj pod uwagę.

Bitwa nad małą rzeką Owcy Wielkorogiej stanowiła kulminacyjny punkt oporu

6. Frank Grouard twierdził nawet, że dwudziestu ośmiu żołnierzy zostało zabitych, a pięćdziesięciu sześciu było rannych, co zdaniem Roberta M. Utleya jest bardziej zbliżone do prawdy.

Siuksów i Szejenów wobec naporu białych. Była jednak zarazem początkiem końca tego oporu. Teraz rząd zszokowany tak bezprzekładną klęską obrał politykę ścigania i zemsty. Moc Stanów Zjednoczonych okazała się zbyt wielką dla Indian. Ich klęska była kwestią czasu. Wczternaście i pół roku po bitwie z Custerem cały opór czerwonoskórych rozsypał się jak domek z kart. Naród Siuksów nigdy już więcej nie zagroził osadnikom przybyłym na jego tereny.

Przykro nam powiedzieć na koniec, iż rząd prócz zdrady dopuścił się też podłości, nim skończyła się ta epoka. 5 września 1877 roku Szalony Koń został zakluty bagnetem, kiedy uciekał z więzienia. Ponieważ poddał się dobrowolnie, nie mógł pojąć samej idei więzienia ludzi. Wyrzucając się na wolność, otrzymał śmiertelny cios. Kilka lat później, 15 grudnia 1890 roku Sledzący Byk zginął od kul dwóch agencyjnych policjantów na Złych Ziemach (Badlands) Dakoty. On także sprzeciwił się uwięzieniu, którego nie umiał zrozumieć.

Tak kończy się opowieść o Crooku i Szalonym Koniu. Pierwszy był wybitnym oficerem armii Stanów Zjednoczonych, absolwentem West Point i – pomimo niepowodzeń w dwóch omówionych kampaniach – wspaniałym, zdolnym żołnierzem. Drugi – Szalony Koń – był niewykształconym, niepiśmiennym, czerwonoskórym wojownikiem. Nie przeszkadzało mu to być chyba największym z indiańskich dowódców na Równinach, ognistym i przebiegłym taktikiem, który pokonał najlepszych żołnierzy, jakich wojsko amerykańskie było mu zdolne przeciwstawić. □

Cornelius C. Smith, Jr.

Przetłumaczył Aleksander Sudak

Emerytowany pułkownik marynarki wojennej USA, Cornelius C. Smith jest malarzem, rzeźbiarzem i pisarzem. Interesuje się historią wojen indiańskich, głównie na Południowym Zachodzie. Do jego najbardziej znanych książek należą: *Emilio Kosterlitzky: Eagle of Sonora and the Southwest Border* i *Fort Huachuca: Story of A Frontier Post*.

Storm Horse

STORM HORSE (Clifford Bernie, Jr) jest Siuksem Yankton. Mieszka w Marty, na terenie rezerwatu Yankton w Południowej Dakocie. Wiersze pochodzą z debiutanckiego tomiku *A Primitive Journey: Nomad of the Native Inner World* wydanego w 1988 roku przez opactwo Benedyktynów „The Blue Cloud Quarterly” Vol. 34, No. 4. Copyright © 1988 by Storm Horse.

Góra ignorancji

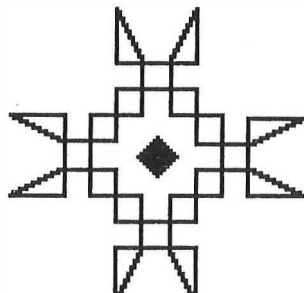
Widziałeś kiedyś
te kamienne twarze
w Południowej Dakocie?

Łypią na ciebie
złowieszczym okiem
z zimnych zastygłych twarzy.

Ci z Południowej Dakoty
wiedzieli, co robią
gdy budowali pomnik
kamiennych twarzy.

To granitowy symbol
ludzkich serc,
które są twarde i zimne
jak góry lodu,
które boją się roztopić
i wsiąknąć w ziemię.

O Ludzie dwojga narodów,
odrzućcie ignorancję,
uczcie się kochać nawzajem
jak dzieci jednej ziemi.



Strażnik Ziemi

Często dumam w sercu.

Co stanie się z ziemią?
Kto będzie się o nią troszczył?
Czy pozostanie święta?

Gdy odeszli moi ludzie...

Wielu naszych starszych
Dołączyło do świata duchów
Razem z nimi poznali
Ukryte tajemnice ziemi
Jak milczenie wiatru
Nigdy ich nie słysząc
Ci, którzy kochali ziemię
Odeszli dawno temu
Jedynie ich dzieci pozostały
Żeby chronić matkę ziemię
By ona mogła żyć dalej

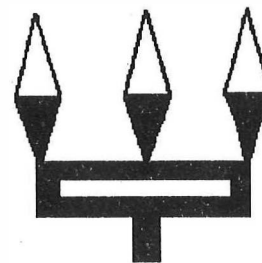
Często dumam w sercu.

Co stanie się z ziemią?
Kto będzie się o nią troszczył?
Czy pozostanie święta?

Gdy odeszli moi ludzie...

Kobiety z czerwonej gwiazdy

Pewnego dnia
Otwarta brama
Niebios
Świeciła jaskrawie.
Na wschodzie
Pojawiła się
Młoda kobieta
Ubrana
W kolory tęczy
Porannego światła.
Czerwony świt
Pokolorował niebo,
Rzucając jasne cienie
Na świętą ziemię.
Młoda kobieta
Przeszła przez
Otwartą dolinę
Mego serca.
Wczesnym świtem
Córka
Troskliwego ojca słońce
Przeszła przez
Otwartą bramę
Niebios.



Szalony Koń

Szalony Koniu, O Szalony Koniu
Gdzie bym był teraz?
Gdybyś ty nie walczył za mnie?

Szalony Koniu, O Szalony Koniu
Nie chcę cywilizacji białego człowieka.
Zaprowadź mnie z powrotem
do narodu czerwonego człowieka.

Szalony Koniu, O Szalony Koniu
Powiedz mi, a zrobię to.
Bez duchowej wartości, jestem nagi.

Szalony Koniu, O Szalony Koniu
Gdzie mam iść?
Zaprowadź mnie do domu.



Szukanie wizji

Gdy wspinam się na święte wzgórze
Idę wyprostowany między drzewami,
Pozdrawiając cztery wiatry,
A stare bębny wołają mnie.

Sięgam do wszechświata
Po duchowe przewodnictwo,
Owijając się mocno skórą bizona
Gdy zimowe wiatry nie nadciągają.

Trzymam się świętej fajki,
Unoszę ją, palę w czasie modlitwy,
Siła do przetrwania nocy
Czekanie na przyjście wizji.

Wiersze przełożył MAREK MACIOŁEK

Gawędziarstwo i świętość

O zastosowaniu opowieści tubylczych Amerykanów



Opowiadanie historii to poważna sprawa. Nie powinno się tego robić bezmyślnie, gdyby bowiem opowiadano historie w czasie wegetacji roślin, życie musiałoby stanąć, gdyż magiczna siła tych historii tak dalece oczarowuje przyjazne duchy przyrody, że odmawiają one spełniania wyznaczonej im funkcji, jaką jest zapewnianie środków do przetrwania nadchodzącej zimy. Podobnie też ta część duszy, która pozostaje po śmierci człowieka i wędruje bez celu, może zostać zwabiona do społeczności opowiadającej historii, zatęsknić znów do przyjaźni żyjących i być może nawet skraść duszę noworodka, by ta dotrzymała jej towarzystwa. Ludzie muszą się przygotować do słuchania opowieści, dzieci zaś powinno się ubezpieczyć rzemieniem z jeleniej skóry na nadgarstku, wiążącym je ze światem, aby duchy zmarłych nie mogły ich uprowadzić. Wiele obrzędów trzeba odłożyć na czas chłodów, tak więc i opowieści winny być zarezerwowane tylko na tę porę.

William Guy Spittal ze wstępu
do *Myths of the Iroquois* E.A. Smytha.¹

I. OPowieści TUBYLCZE I NIE-INDIAŃSCY GAWĘDZIARZE: WYBRANE ZAGADNIENIA

W kręgach gawędziarskich istnieje ogromne zainteresowanie opowieściami Indian amerykańskich. Niemal wszyscy gawędziarze znają i opowiadają co najmniej jedną taką historię. Są to często ich ulubione opowieści, nierzadko też stwierdzają, że słuchacze sami o nie proszą i przyjmują je z entuzjazmem.

Nic dziwnego, że istnieje także zainteresowanie tubylczymi opowieściami; przecież ten kraj powstał na „Ziemli Indian”. (A nawet więcej, jeśli wziąć pod uwagę słowa gawędziarza i historyka Mohawków, Tehanetorensa. Stwierdza on, że współcześni Amerykanie żyją bardziej jak Indianie, których napotkali ich przodkowie – jeśli chodzi o strój, żywność i kulturę materialną – niż jak ich europejscy poprzednicy. Nawet struktura naszej władzy zawdzięcza chyba więcej Konstytucji Sześciu Narodów Irokeskich niż jakemukolwiek dokumentowi europejskiemu.) Opowieści wielu tubylczych ludów z obszaru dzisiejszych Stanów Zjednoczonych przemawiają do Indian i nie-Indian w sposób odmienny od wszystkich innych historii. Ponadto wiele opowieści tubylczych Amerykanów, już zebranych i złożonych do druku, stanowi jeden z najbogatszych zbiorów mitów i legend na świecie. Już teraz można znaleźć w książkach dziesiątki tysięcy opowieści tubylczych Amerykanów

z ponad czterystu ustnych tradycji Ameryki Północnej – opowieści pełnych pamiętnych i emocjonujących szczegółów, które przyciągają zarówno gawędziarzy, jak i słuchaczy. Historie Irokezów, na przykład, obfitują w takie cudowne stworzenia jak kamienne olbrzymy, potworne niedźwiedzie, latające głowy, czarodziejskie karły, szkielety wampirów i ponad tuzin rozmaitych wcieleń *trickstera*.²

Dla wielu gawędziarzy opowieści Indian północnoamerykańskich są glebą żyzną i niekniętą. Gawędziarz, który po raz pierwszy „odkrywa” opowieść indiańską, przemawiając do niego szczególnym głosem, musi się czuć tak jak Balboa (ale nie Cortez) na wzgórzu w Darien, skąd po raz pierwszy ujrzał Pacyfik. Istnieje jednak wiele problemów związanych z dzisiejszym wykorzystywaniem i niewłaściwym stosowaniem indiańskich opowieści przez nie-indiańskich gawędziarzy. Problemy te wywodzą się po części z świeżości i nie odkrytej jakości, co sprawia, że opowieści są tak atrakcyjne i emocjonujące dla gawędziarza, który szuka nowego gruntu. Ponadto dla potencjalnego narratora nowe są nie tylko te historie, ale także wszystkie

1. E.A. Smith: *Myths of the Iroquois*. Ohsweken, Ontario, Kanada, Iroqrafts, 1983.

2. Trickster (dosł. „oszust, spryciarz”) to symboliczna postać w mitologii wielu indiańskich plemion. Jego pojawienie się zawsze wprowadzało zamieszanie i nieoczekiwaną zmianę sytuacji. Nazywany był różnie: Kojot, Dziadek, Stary Człowiek itp. – przyp. tłum.

rzeczywiste (bardziej niż stereotypowe) aspekty tubylczoamerykańskiej kultury, dawnej i współczesnej. Trudności wiążą się także ze źródłami, z których większość gawędziarzy czerpie opowiadane przez siebie historie. Choć i indyjskie opowieści wywodzą się z tradycji ustnych, to gawędziarz spotyka się z nimi najpierw w książce, nie zaś w ustnym przekazie Indianina. Niestety, liczne pisemne wersje opowieści tubylczych Amerykanów, które pozostają żywe w ustnej tradycji różnych ludów, są albo niekompletne, albo niedokładnie zarejestrowane.

To smutne, że przeciętny Amerykanin wie dzisiaj o Indianach mniej niż pierwsi osadnicy na tym kontynencie, którzy przetrwali dzięki pomocy i przyjaźni tubylców. Nawet ludzie żyjący kilka mil od dużych i aktywnych społeczności indyjskich albo mało wiedzą o swych tubylczych sąsiadach, albo wręcz wątpią w ich istnienie. Wielokrotnie bywałem w miasteczkach, w których na pytanie, czy są tu jacyś miejscowi Indianie, odpowiadano mi, że nie ma, a chwilę później spotykałem tam wielu Indian. Mit „Ginącego Czerwonego Człowieka” jest bardziej żywotny w umysłach większości Amerykanów niż świadomość o stale wzrastającej populacji tubylczych Amerykanów, ogarniających cały kontynent. Skłoniło to Simona Ortiza, gawędziarza i poetę Pueblo, do napisania w jednym wierszu: „Indianie są wszędzie”.

Z brakiem wiedzy o istnieniu współczesnych tubylczych Amerykanów idzie w parze ignorancja miejsca i właściwego zastosowania opowieści indyjskich. Żadna opowieść – dotyczy to każdej kultury – nie istnieje w izolacji od życia ludzi. Problemy związane z racjonalnością, skutecznością i uzasadnieniem przeszczepiania opowieści z jednej kultury do drugiej dotyczą nie tylko opowiadań indyjskich. Najlepsi gawędziarze uświadamiają sobie zwykle te problemy i mogą nawet angażować się w heroliczne wysiłki zrozumienia źródeł i kulturowych kontekstów opowieści, które wyko-

rzystują. Jednak wielu gawędziarzy – w tym paru najlepszych – wie tylko, że historie indyjskie, które opowiadają pochodzą z tej czy innej książki lub były opowiadane przez tego czy innego nie-indyjskiego narratora. Jak na ironię, mogą oni wiedzieć mniej o pochodzeniu opowieści indyjskiej – wyrosłej na tym gruncie – niż historii ze starożytnego Babilonu czy wysp Fidżi. Nie-indyjscy narratorzy, którzy wykorzystują indyjskie opowieści przeważnie nigdy nie słyszeli ani słowa w języku, z którego one pochodzą; nie wiedzą nic o intelektualnej czy materialnej kulturze danego narodu indyjskiego i nigdy nie spotkali żyjącego Indianina z tego plemienia. W wielu wypadkach nie wiedzą nawet skąd pochodzi dana historia – poza tym, że jest „indyjska”. I prawie na pewno nie wiedzą o jej silnym związku między gawędziarzem i świętością, jak występuje w wielu narodach tubylczych Amerykanów.

Zanim przejdę dalej, pozwolę sobie wyjaśnić, że **nie mam** zamiaru zniechęcać nie-Indian do opowiadania indyjskich historii. Tubylcze opowieści są dziś – do pewnego stopnia – częścią dziedzictwa wszystkich Amerykanów. Nauki, które przekazują – będą jeszcze mówiły o dydaktycznych walorach tubylczych opowieści – są zapewne bardziej potrzebne nam wszystkim dzisiaj, niż tym, którzy pierwsi opowiadali je przed setkami lat. Są to potężne opowieści – jak lekarstwo lub tytoń. Podobnie jak lekarstwo czy tytoń, którego dym służył do zanoszenia modlitw do Stwórcy, także opowieści muszą być wykorzystywane mądrze i dobrze – w przeciwnym wypadku mogą zaszkodzić zarówno narratorom, jak i słuchaczom. Każdy tubylczy gawędziarz, z którym rozmawiałem – VI Hilbert ze stanu Waszyngton, Ed Edmo z Oregonu, Kevin Locke z Dakoty Północnej, Simon Ortiz i Harold Littlebird z Nowego Meksyku, Keewaydinoquay z Michigan, Teha-netorens ze stanu Nowy Jork – wszyscy oni potwierdzają, że jeśli nie-indyjscy gawędziarze okazują zrozumienie i szacunek, mogą opowiadać indyjskie histo-

rie. Trzeba jednak wielkiego zrozumienia, zaś szacunek wymaga odpowiedzialności. Mam nadzieję, że ten artykuł pomoże nie-indyjskim gawędziarzom lepiej zrozumieć gawędziarstwo amerykańskich Indian i że wskaże pewne kierunki, którymi mogą podążać, aby wykształcić właściwy stosunek do historii, które chcieliby opowiadać.

II. TUBYLCZE ZASTOSOWANIE OPowieści

*Hej-ho-wej – Opowiadam historię,
Historię Dawnych Ludzi.*

*Hej-ho-wej – Oflarowuję asseyma
Ich duchom...*

*Hej-ho-wej – Opowiadam historię,
Słuchajcie – i uczcie się.*

Hej-ho-wej – Hej-ho-wej...

Keewaydinoquay
Opowieść o Początku
*Mukwahmiskomin, Gift of Bear*³

W jaki sposób Indianie wykorzystują swe opowieści? Tradycyjnie służyły one do przekazywania ludziom tych nauk, których potrzebują, aby móc współpracować i przetrwać. Kultury indyjskie na całym kontynencie promowały niezależność jednostki, jak i pracę dla dobra wszystkich. Rzadko stosowano przymus w celu zmuszenia jednostki do podporządkowania się: Europejczy podrobnicy często wspominali o braku policji, surowych praw i więzień odnotowując, że Indianie, których odwiedzali zachowują się tak, jakby w ogóle nie znali przestępstw. Ten brak przymusu był szczególnie widoczny w praktyce wychowywania dzieci przez ludy tubylcze. Uderzenie dziecka przez dorosłego uważano powszechnie za czyn bardzo zły. Europejska zasada głosząca, że „oszczędzanie różgi psuje dziecko”, wydawała się tubylczym Amerykanom perwersyjna, bowiem uważali oni, że bicie dziecka może mieć jedynie

negatywne skutki. Uderzenie dziecka mogło tylko złamać jego ducha lub spowodować obrazę. Taki tchórzliwy czyn był złym przykładem. Ktoś, kto bił swoje dzieci, mógł oczekiwać, że pewnego dnia sam zostanie przez nie pobity, gdy staną się silniejsze od rodziców. Zamiast tego, gdy dziecko postępowało źle, pierwszym krokiem było zastosowanie siły opowieści w celu ukazania mu właściwej drogi. Jeśli dziecko było nieposłuszne, niegrzeczne wobec starszych, lub zrobiło coś, co mogło być dla niego niebezpieczne, opowiadano mu pouczające historie, ilustrujące, co dzieje się z tymi, którzy zachowują się źle. Siła opowieści – które opowiada się do dziś – zwykle wystarczała. Jeżeli jednak opowieści lub inne środki – takie jak oblewianie dziecka wodą – nie skutkowały, to zaczynało dziecko na różne sposoby unikać, np. udając, że się go nie zauważa albo (wśród Abenaków) czerniąc mu twarz i wyprasząc z domu, aby było zignorowane przez całą społeczność. Kiedy tylko dziecko wykazywało chęć poprawy, przestaje się go unikać. W przypadku dorosłych, stale działających na niekorzyść swego ludu, najdrastyczniejszym – choć rzadko stosowanym – środkiem było wygnanie z ziem danego plemienia. Także dorosłym opowiadano historie, aby pomóc im zobaczyć właściwy sposób postępowania.

Ponieważ takie pouczające opowieści miały ogromne znaczenie dla pomyślności jednostki i narodu, musiały być obdarzone wielką mocą. Dobra opowieść, zajmująca i twórczo skuteczna, wywrze na słuchaczu większe wrażenie. Rola opowieści jako społecznego przewodnika sprawiała, że najważniejsze to ją zapamiętać. Dlatego ważne jest to, aby nie-indyjscy narratorzy dokładnie rozumieli przesłanie, które ma wyrażać dana opowieść. Jeżeli nie zna się sposobu zastosowania danej opowieści, prawdopodobne jest, że się jej nie zrozumie lub użyje niewłaściwie. Opowieści są jak pożywienie. Jemy je, bo lubimy, ale jemy je także, bo utrzymuje nas przy życiu.

Myszę, że nie ma przesady w stwierdzeniu, że wszystkie opowieści Indian północ-

3. Keewaydinoquay: *Mukwahmiskomin or Kinnickinnick, Gift of Bear*. Minis, Kittigan Drum, 1977.

noamerykańskich, użyte we właściwym kontekście, mogą służyć jako lekcje i ważne narzędzia komunikacji. Wśród tubylców przeświadczenie to utrzymuje się do dziś. W praktyce nawet żarty mogą być wykorzystywane w taki sposób. Jeżeli Indianin opowiada wam dowcip, to słuchajcie go uważnie. Na pewno będzie się odnosił do czegoś, co zrobiliście lub powiedzieliście. Intencją żartu może być udzielenie wam lekcji lub nawet reprimendy, jeżeli przekroczyliście pewne granice. Jeżeli Amerykanie wciąż trzymają się zasady nieingerencji w działania innych – z wyjątkiem sposobów pośrednich – i dlatego żart może być wybranym sposobem zwrócenia na coś uwagi.

Trzeba też pamiętać, że kultura tubylczych Amerykanów jest holistyczna. Rozumiem przez to, że nie ma w niej rozdziału Kościoła od państwa, nie ma nic z wygodnego szufladkowania, odnajdywanego w kulturze zachodniej, ułatwiającego oddzielenie *sacrum* od *profanum*. W wszechświecie Indian północnoamerykańskich wszystko jest święte. Wszystkim zainteresowanym rolę opowieści we współczesnym życiu tubylczych Amerykanów bardzo polecam książkę Freda McTaggarta *Wolf That I Am* (Wilk którym jestem). Dokumentuje ona wysiłki McTaggarta, kończącego wówczas studia na Uniwersytecie stanu Iowa, zmierzające do zebrania i opisanie opowieści ludu Mesquakie, którego osiedla znajdowały się nieopodal Iowa City. Chociaż sądził, że będzie gromadził niezwykle opowieści ludowe ostatnich przedstawicieli wymierającej kultury, to szybko się przekonał, że stanął przed ludźmi, którzy mocno wierzą w siebie, w swój język i rytuały religijne. Daleka od wymarzenia droga życia Mesquakie była bardzo żywotna. Dalecy od gotowości dzielenia się swymi opowieściami z uzbrojonym w magnetofon studentem, ludzie Mesquakie chronili swoje tradycje.

Za radą swego przyjaciela, także studenta i Indianina Mesquakie, McTaggart przedarł się pewnego razu podczas zimy do domu mężczyzny, o którym mówiono, że zna wiele opowieści. Kiedy

McTaggart zapukał do drzwi i wyszedł Tom Youngmen zamykając drzwi za sobą, oto co się wydarzyło:

– Powiedziano mi, że mógłby mi pan pomóc w zbieraniu informacji o opowieściach.

Głębokie, brązowe oczy mężczyzny spoglądały na mnie przez kilka chwil. Wyglądałem w jego oczach nieznaną mi dotychczas siłę i spokój. Miał na sobie tylko flanelową koszulę, ale nawet nie drżał na zimnym, przesywającym wietrze. Kiedy tak stał przed zamkniętymi drzwiami, spoglądając głęboko w moje oczy, sprawił w jakiś sposób, że odczułem ulgę i nie miałem już ani strachu, ani wsty, które odczuwałem zwykle, gdy spotykałem się po raz pierwszy z ludźmi w osadzie Mesquakie. Jego milczenie było dostateczną odpowiedzią i kiedy wreszcie przemówił, powiedziałem, co powie.

– Nie mogę ci opowiedzieć historii – powiedział łagodnie. Nie miałem żadnych kłopotów z usłyszeniem jego słów w ściszącym wnętrzu. – Używam opowieści do modlitwy. Dla mnie są święte.

Podziękowałem, a on ponownie otworzył drzwi i wycofał się do swej malej chaty...⁴

McTaggart uświadomił sobie później, że został wprowadzony w błąd przez swego przyjaciela, studenta Mesquakie. Z początku był zły i zakłopotany, ale później przyszedł, że dając się oszukać – jak w opowieści Mesquakie o Wilku i Szopie, którą czytał w starym zbiorze (*Fox Texts* Williama Jonesa) – otrzymał lekcję.

Opowieści wykorzystuje się także podczas różnych rytuałów leczniczych. Najlepszym przykładem są opowieści Nawahów, będące częścią ceremonii leczniczej. Postaci z tych opowieści wykonuje się na ziemi z kolorowego piasku, a następnie sadza się leczoną osobę na tym płaskowym rysunku – gdzie staje się ona częścią opowieści – w rytuale, który może trwać całymi dniami. W innych tubylczych narodach niektóre historie mogą być opowiadane jedynie

4. Fred McTaggart: *Wolf That I Am*. Boston, Mass. Houghton Mifflin, 1976.

pewnym ludziom, którzy przeszli przez wtajemniczenie i to tylko w pewnych okolicznościach. Jaka odpowiedzialność spoczywa na gawędziarzu, który odkrywa jedną z takich opowieści i pragnie przekazać ją poza oryginalnym kontekstem? Nie jestem pewien, czy znam właściwą odpowiedź, ale wiem, że dowolne używanie rzeczy świętych nie jest dobrym pomysłem i że ostrożność jest bardziej pożądana niż ryzyko. Opowiada się historie o takich postaciach jak Kojot, które traktują świętość zbyt lekko i postępują źle. W opowieściach tych zawsze płacą one za swe błędy.

Do tradycji całego kontynentu należą chyba to, że **wszystkie** mity i legendy tubylczych Amerykanów powinny być opowiadane tylko w określonych porach i w określony sposób. Keewaydinoquay, szamanka i gawędziarka Anishinabeg, ma pieśń, którą rozpoczyna każdą opowieść. Śpiewając zawsze ofiarowuje przodkom *asemyma*, czyli tytoń. Ci, którzy uczyli się u Keewaydinoquay, postępują podobnie.

W większej części Ameryki Północnej można było opowiadać historie tylko zimą. W niektórych wypadkach historie można opowiadać tylko nocą. Co więcej, wymawianie imion niektórych postaci z opowieści – na przykład Kojota – poza opowieściami uważane jest za prowokowanie nieszczęścia. Jak mówią niektórzy Indianie z Kalifornii, Kojot może usłyszeć, że ktoś wymawia jego imię, przyjdzie i wyrządzić szkodę. Sądzę, że można znaleźć logiczne wyjaśnienie takich zakazów. Zajmowanie się gawędziarstwem w czasie wegetacji roślin, kiedy powinno się pracować w polu lub zbierać żywność, może być uważane za szkodliwe dla wielkości plonów. Ludzie odczuwają większą potrzebę opowieści zimą, kiedy może brakować pożywienia, a noce są długie i zimne; dobra opowieść pomaga wtedy podtrzymać ducha. Mówiono mi też, że zakazy opowiadania historii wyjętych z kontekstu nie są narzucone przez ludzi. Zamiast nich wkraczają siły przyrody. Opowiadaj historie latem, mówią Irokezi, a do twej chaty wleci pszczoła i cię użądli. Pszczoła jest faktycznie jednym

z Małych Ludzi, *Jo-ge-oh*, który przyjął taki kształt, aby ostrzec cię, że postępujesz źle. Abenakowie mówią, że jeśli się opowiada historie podczas wzrostu roślin, to do domu mogą wślizgnąć się węże.

Bez względu na przyczyny, opowiadałem pewne historie tylko w miesiącach od pierwszego do ostatniego mrozu. Mój nie-Indianin znajomy chciał opowiadać indiańskie opowieści, ale nie znał tych zakazów. Wyszukał parę opowieści z XIX-wiecznego zbioru i zaczął się ich uczyć. Wkrótce opanował je na tyle, żeby wystąpić publicznie. Gdy po raz pierwszy opowiedział jedną z tych historii, rozchorował się. Poradziłem mu, żeby dowiedział się czegoś więcej o tych opowieściach. Jednak on znowu wystąpił publicznie i krótko potem miał groźny wypadek. Ponownie zasugerowałem mu wniknięcie w dzieje tych opowieści i dowiedzenie się czegoś więcej o tubylcach, którzy je opowiadali. Jego odpowiedź była jednak taka, że musiał najpierw sprawdzić, czy nie był to zwykły zbieg okoliczności. Rozmyślnie opowiedział publicznie kolejną historię. Tym razem rozchorował się nieomal śmiertelnie. Wtedy doszedł do wniosku, że **powinien** dowiedzieć się czegoś więcej o tych opowieściach. Pojechał więc do Oklahomy odwiedzić starców z tego tubylczego narodu i odkrył, że były to opowieści nocne, przeznaczone do opowiadania w określonej porze roku i nigdy – jak to czynił – za dnia.

III. TUBYLCZE OPOWIEŚCI I NIE-INDIAŃSCY GAWĘDZIARZE: KILKA ZALECEŃ

To, czym chcę się tutaj podzielić, nie stanowi katalogu sztywnych i bezwzględnych przepisów, ale ma formę zaleceń, którymi mógłby się kierować nie-Indianin gawędziarz pragnący wykorzystywać tubylczo amerykańskie opowieści. Zalecenia te wynikają z mego własnego podejścia do opowieści, które opowiadałem i które pochodzą z tradycji przodków Abenaków oraz innych tubylczych ludów Ameryki, od których się uczyłem.

1. Zamiast uczyć się tubylczych opowieści wyłącznie z książek, uczcie się ich z życia ludzi. Odwiedzajcie żyjących Indian, starajcie się bliżej poznać ich życie i języki. Wykorzystując teksty pisane badajcie dokładnie wszystkie ich wersje, jeżeli jest ich więcej niż jedna. Znajomość języka i ludu, z którego pochodzi dana opowieść powinna wam pomóc dotrzeć do wersji najbliższej oryginałowi.

2. Odwiedzając tubylczych Amerykanów pamiętajcie, że słuchanie i cierpliwość to podstawowe cnoty. Stary stereotyp stołckiego Indianina bierze się częściowo z faktu, że zbyt często nie-Indianie monopolizują rozmowę. W zachodniej kulturze powszechną praktyką jest wtrącanie się do rozmowy innych. Wtrącenia takie skutecznie kończą rozmowy z Indianami. Zadając pytania unikajcie pytań naprowadzających, czyli takich z prostymi odpowiedziami „tak” lub „nie”. Tubylcy przykładają dużą wagę do grzeczności i często odpowiadają „tak”, żeby się wam nie sprzeciwiać.

3. Powinniście wiedzieć, jakiego rodzaju opowieści się uczycie. Ustalcie, czy nie ma wyznaczonych okresów, kiedy wolno je opowiadać i bądźcie świadomi sposobu, w jaki konstrukcja opowieści pasuje do kultury i sposobu widzenia świata w danym ludzie tubylczym. Jeżeli nie jesteście pewni zastosowań opowieści lub jej pochodzenia – **nie opowiadajcie**. Ponadto, jeżeli chcecie wykorzystać opowieść, którą usłyszeliście z ust tubylczego gawędziarza, **zawsze** uzyskujcie od niego wyraźne zezwolenie na jej opowiadanie.

4. Opowiadając historie tubylczych Amerykanów, starajcie się unikać słów o nacechowaniu rasistowskim i posługiwania się stereotypami. Na przykład, wielu nie-Indian nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo obraźliwe jest mówienie o kobiecie – *squaw*, o dziecku – *papoose*, a o mężczyźnie – *brave*. Pamiętajcie, że tubylcze kultury nie były „prymitywne” czy „zacołane”, ale często bardziej wyrafinowane politycznie i kulturowo niż większość kultur europejskich za czasów Kolumba. Jak mówi Alvin M. Josephy: *Włara w wolność i godność jednostki była głęboko zakorzeniona w wielu indiańskich społecznościach*. (Książkę Alвина M. Josephy *The Indian*

Heritage of America powinien przeczytać każdy gawędziarz wykorzystujący tubylcze opowieści)⁵. Co więcej, tubylcze kobiety w wielu narodach plemiennych – na przykład u Irokezów, gdzie kierowały domem, kontrolowały rolnictwo, wybierały i usuwały wodzów – odgrywały główną rolę.

Jedną z moich ulubionych historii Irokeskich opowiada o Gawędzącym Kamieniu. Mówi ona o tym, jak stary kamień nauczył chłopca pierwszych mitów i legend. W zamian za każdą opowieść chłopiec oddawał głazowi to, co upolował. Jest to ważna opowieść, o której powinien pamiętać każdy, kto pragnie opowiadać historie tubylczych Amerykanów, ponieważ przypomina nam ona o zasadzie wzajemności i właściwym stosunku do ziemi, leżących u podstaw indiańskich opowieści i całej indiańskiej kultury. Gawędziarz, zarówno indiański, jak i nie-indiański, który pamięta o tych zasadach, będzie odnosił sukcesy wykorzystując indiańskie opowieści jak należy – dla dobra ludzi i ziemi. □

Joseph Bruchac

Przetłumaczyli:

Marek Nowocień i Marek Maciołek

5. Alvin M. Josephy: *The Indian Heritage of America*. New York, N.Y. Alfred A. Knopf, 1968.

Uwaga dotycząca używania nazw. Stosuję tu wymienienie terminy „tubylczy Amerykanin” (*Native American*) i „Indianin amerykański” (*American Indian*). Zdaniem tubylców żaden z nich nie jest bardziej właściwy. Oba zawierają historyczną nieścisłość – chociaż wiem, że Russell Means głosi, iż termin „Indianin” pochodzi nie od nazwy azjatyckiego subkontynentu, lecz od słów *In Dios*, co oznacza ludzi żyjących „w Bogu”. W rzeczywistości tubylcy skłaniają się do określania siebie samych przede wszystkim nazwą plemienną – Irokezi, Abenakowie, Siuksowie. Ale i tu istnieją problemy. Nazwa Irokezi pochodzi od słowa Abenaków *Ireokwa*, które oznacza „prawdziwe żmije”. Sami Irokezi nazywali siebie *Hodonsaunee* – „Ludzie Długiego Domu”. Podobnie jest z wieloma innymi nazwami, którymi określamy różne indiańskie narody i których nawet one same używają. Siuksowie, Apacze, Nawahowie – wszystkie te nazwy nadał im wrogowie. Lista jest długa. (JB)

Powyższy artykuł ukazał się w „The National Storytelling Journal”, wiosna 1987.



Gluskabi i skunks

W dawnych czasach Skunks był jednym z najpiękniejszych zwierząt, miał futro z lśniąco białej sierści, która była długa i jedwabista. Zachwycały się nim wszystkie zwierzęta.

Pewnego dnia Skunks poszedł w odwiedziny do Gluskabiego.

– Pozwól mi zostać – poprosił. – Chciałbym wędrować razem z tobą. Jeśli się zgodzisz, będę ci gotował.

Gluskabi był trochę leniuchowaty. Pomysł, że nie będzie musiał gotować, bardzo mu się spodobał.

– Dobrze – zgodził się – jakiś czas możesz ze mną zostać.

Początkowo wszystko układało się dobrze. Skunks gotował wyśmienite potrawy, podczas gdy Gluskabi siedział i palił swą kamienną fajkę. Wkrótce jednak musiał znów ruszyć w drogę.

– Pada za dużo śniegu – powiedział Gluskabi. – Muszę iść pomówić ze Śnieżnym Ptakiem.

– Zabierz mnie ze sobą – prosił Skunks.

Gluskabi usiłował odmówić. Przekonywał go, że będzie to długa podróż na zimnie. Jednak Skunks był uparty i Gluskabi w końcu się zgodził. Tych dwoje zaczęło więc wędrować razem. Tam dokąd szli leżało coraz

więcej śniegu. Gluskabiemu sięgał do kolan, ale szedł wytrwale. Potem sięgał mu już do pasa, ale Gluskabi nie ustawał. Skunksowi było bardzo ciężko, musiał zmagać się z olbrzymimi śladami stóp Gluskabiego. Zaczął się na niego złościć, zapomniał, że to był jego własny pomysł.

W końcu dotarli do wierzchołka, na którym siedział wielki biały ptak. Gdy rozpostarł skrzydła wypadały zeń płatki śniegu.

– *Kuai*, Dziadku! – przywitał się Gluskabi.

– Ach Gluskabi! – zawołał Śnieżny Ptak, nie ukrywając swego zaskoczenia. – Po coś przyszedł?

– Jest za dużo śniegu, dziadku – powiedział Gluskabi. – Jeśli będzie tak dalej padać, to moim dzieciom i wnukom trudno będzie się żyło.

Nachylił się i wyjął ze śniegu Skunksa, który był zmarznięty na kość. – Zobacz jak ciężko temu małemu bratu.

Śnieżny Ptak kiwnął głową: – Widzę. – Złożył skrzydła i śnieg przestał sypać. Do dzisiaj śnieg pada tylko przez część roku, gdyż Gluskabi i Skunks odwiedzili Śnieżnego Ptaka.

W powrotnej drodze do chaty Gluskabiego, Skunks pograżył się w myślach. Gniewał się jeszcze na

Gluskabiego, ale zapragnął także dokonać czegoś wielkiego. Po drodze mijali inny wierzchołek góry, na którym stał wielki ptak. Gdy trzymał skrzydła szeroko otwarte, padało z nich światło.

– Kto to? – spytał Skunks.

– To Dzienny Orzeł – wyjaśnił Gluskabi. – Kiedy ma rozpostarte skrzydła, jest dzień, gdy je zamknie – będzie noc.

Skunks przyjrzał mu się i stwierdził, że to prawda. Dzienny Orzeł powoli składał skrzydła i zaczęło się ściemniać. Wkrótce zrobiło się tak ciemno, że rozbili nocny obóz. Gluskabi położył się spać, ale Skunks nie zasnął. Wziął kłębek rzemienia i poszedł do Dziennego Orła. Związał skrzydła temu wielkiemu ptakowi, aby ten nie mógł ich otworzyć, choćby bardzo próbował. Skunks wrócił ukradkiem do obozu i udawał, że śpi.

Gdy nadszedł poranek, nie było świtu. Ptaki i zwierzęta były przestraszone i zagubione. Poruszały się po omacku. Jedynie Skunks się nie bał i śmiał się z zachowania innych.

Gluskabi znalazł jakoś po ciemku drogę na górę Dziennego Orła.

– Kto ci to zrobił, Dziadku? – spytał.

– To był ten biały, który z tobą chodzi – powiedział Dzienny Orzeł.

Gluskabi spróbował wtedy rozwiązać supły, jakie zrobił Skunks. Były jednak bardzo mocno zaciśnięte i Gluskabi nie mógł ich wszystkich rozwiązać. Udało mu się uwolnić tylko jedno skrzydło Dziennego Orła. Do dzisiaj

Dzienny Orzeł może rozpostrzeć tylko jedno skrzydło. Trzyma je cały czas rozpostarte z obawy, że znowu przyjdzie Skunks. Dlatego tylko połowa świata ma światło dzienne, gdyż Orzeł musi nieustannie się obracać na wierzchołku swej góry, aby cały świat obdzielić swym światłem.

Gluskabi tymczasem wrócił do Skunksa. Chwycił fajkę i wysypał popiół na głowę Skunksa czerniąc mu białe futro. Palcami zrobił dwa białe pasy, aby przypominały, jaki śliczny był kiedyś Skunks.

– Odtąd każdy będzie pamiętał, co zrobiłeś – powiedział Gluskabi, po czym dmuchnął dymem w Skunksa, od czego ten zaczął brzydko pachnieć. – Odtąd nikt nie będzie chciał z tobą przebywać.

Odcodząc Skunks zostawił trochę swego brzydkiego zapachu w trawie na mokradłach. Do dzisiaj żadne zwierzęta nie jedzą tej trawy. Gluskabi zauważył jednak, co zrobił Skunks. Poszedł na mokradła i też dmuchnął w trawę, nadając jej przyjemny zapach. Oto skąd wzięła się słodka trawa; ze względu na to, że dotknął ją Gluskabi – jest to jedna ze świętych roślin.

Do dziś Skunks rzadko pojawia się przed zapadnięciem zmroku, właściwie nie dlatego, że wstydzi się swego okopconego futra, ale z obawy przed zemstą Dziennego Orła za to, co zrobił mu dawno temu.

Przełożył MAREK MACIOŁEK

Fragment zbioru opowieści o Gluskabim *Wietrzny Orzeł*, jaki wkrótce ukaże się nakładem „Tipi”.



Otwarcie Narodowego Muzeum Amerykańskich Indian w Nowym Jorku

W. Richard West, Jr.

Muzeum bez ścian

Naszej wizji nadaliśmy już z tuzin rozmaitych nazw, które pamiętam. Żywe muzeum. Międzynarodowa instytucja kulturalna. Muzeum bez ścian. Muzeum inne. Mogłbym wymieniać dalej, ale nie ma potrzeby. Już tylko dni dzielą bowiem Narodowe Muzeum Amerykańskich Indian (NMAI) w Nowym Jorku od ceremonii otwarcia i od złączenia się tym samym naszej wizji.

30 października 1994 roku Centrum George'a Gustava Heye'a na dolnym Manhattanie powita pierwszych gości. To pierwsza z trzech placówek, które złożą się na Narodowe Muzeum Amerykańskich Indian. W przyszłym roku rozpocznie się budowa Ośrodka Bogactw Kulturalnych w Sultland, w stanie Maryland. Powstają już plany architektoniczne centralnej siedziby Muzeum Narodowego, której otwarcie zaplanowano na rok 2001 w Waszyngtonie, DC.

Dziś jednak wszystkie światła skierowane są na Centrum Heye'a i nie wierzę, by ktoś mógł odczuwać większą radość i dumę, niż ja w tej chwili. Otwarcie narodowego muzeum prezentującego obszerny obraz ludów tubylczych jest bowiem czymś, na co czekałem o wiele dłużej, niż te cztery i pół roku, przez które pracowałem jako jego dyrektor – założyciel.

Czekałem na takie muzeum odkąd byłem jeszcze dzieckiem, zaczynającym pojmować, że kultura, w której się urodziłem – kultura Szejenów – jest czymś głęboko odmiennym od dominującej kultury amerykańskiej – kultury wywodzącej się przede wszystkim z europejskich narodów, tradycji i kultur. I choć zawsze byłem dumny z umiejętności komfortowego życia w świecie Indian i nie-Indian, to wiem, że oba te światy pod wieloma względami są skrajnie różne i – co ważniejsze – żaden z nich nie potrafił pojąć drugiego.

Dlatego z Narodowym Muzeum Amerykańskich Indian wiąże wiele nadziei. Po pierwsze, moim celem jest, by muzeum to wywarło głęboki wpływ na tubylczych Amerykanów, dzięki którym powstało. Ma to być muzeum, które prezentując setki rozmaitych indiańskich kultur z całej Zachodniej Półkuli będzie zarazem wyrażać ich bezpośredni, donośny głos. I choć materialną podstawę muzeum stanowi licząca milion eksponatów wspaniała Kolekcja Heye'a, będzie to instytucja prezentująca nie tylko przedmioty, ale także ludy i kultury, które przedmioty te tworzyły i nadal tworzą.

Choć wiele naszych celów spełni się w murach naszych trzech placówek, to

pełna realizacja misji muzeum może nastąpić jedynie dzięki czemuś, co nazwano „Czwartym Muzeum”. Łączy satelitarne, interaktywne media i inne wytwory nowoczesnej techniki umożliwią Narodowemu Muzeum Amerykańskich Indian dzielenie się ogromnymi bogactwami ze szkołami, bibliotekami, muzeami plemiennymi i innymi instytucjami w całym kraju. W czasie gdy Instytut Smithsona wkraczać będzie w dwudziesty pierwszy wiek, nasze muzeum, pod wieloma względami, wytyczać będzie szlak.

Moim celem jest również, aby nowe Narodowe Muzeum Amerykańskich Indian służyło odbudowie i ożywieniu dialogu pomiędzy Indianami i nie-Indianami. Dzięki wystawom, programom i rozmaitym służbom edukacyjnym i społecznym muzeum zgłębiać będzie wzajemne stosunki kultur Indian i nie-Indian, które zawiązały się ponad 500 lat temu i które trwają do dziś. Zdolność docierania naszego muzeum do ludzi będzie bezprecedensowa. Oczekuję się, iż każdego roku Centrum Heye'a odwiedzą setki tysięcy osób z kraju i całego świata. Placówka w Waszyngtonie przyciągnie kolejne sześć do ośmiu milionów zwiedzających rocznie, a należy pamiętać, że prognozy te, choć robią wrażenie, mogą wypaść blade w porównaniu z liczbą ludzi, do których NMAI może dotrzeć za pośrednictwem inicjatyw Czwartego Muzeum.

Zdaję sobie w pełni sprawę, że osiągnięcie naszych celów będzie pod wieloma względami stanowić wyzwanie dla tradycyjnych praktyk muzealnej społeczności. Nie jest moją intencją przysłówowe sprzątanie stajni, ani też zwykłe stworzenie nowego muzeum, lecz muzeum nowego typu – takiego, które pełniej i bezpośrednio służyć będzie oświatowym potrzebom naszego kraju. Wypełnianie naszej misji rozpoczyna się oczywiście od wystaw, programów i zasobów Centrum Heye'a, które przygotowało trzy inauguracyjne ekspozycje. Każda z nich jest w założeniach niezależna, ale wszystkie trzy łączą wspólne idee.

Pierwsza wystawa, zatytułowana „**Podróż Stworzenia: mistrzowskie dzieła tubylczoamerykańskiej tożsamości i wiary**”,

zaprezentuje ponad 165 obiektów wyselekcjonowanych pod względem ich artystycznej wartości, rzadkości lub historycznego znaczenia. Obejmując dzieła reprezentujące Amerykę Północną, Środkową i Południową – i datowane od roku 3200 p.n.e. aż po wiek dwudziesty – wystawa ta przemówi wieloma głosami. Opisy dotyczyć będą historii i kulturowego kontekstu poszczególnych przedmiotów.

Druga wystawa nosi tytuł „**Wszystkie drogi są dobre: tubylcze głosy o życiu i kulturze**”. Ekspozycja ta opiera się na 313 obiektach wybranych latem 1991 roku przez 23 znanych tubylczych Amerykanów. Towarzyszące im teksty powstały z uwag i dyskusji samych wybierających.

Wreszcie trzecia wystawa „**Tym szlakiem idziemy: celebrycy kreatywności współczesnych tubylczych Amerykanów**”, to instalacja będąca wspólnym wytworem talentu artystycznego 15 współczesnych twórców tubylczych. Spotykając się w okresie kilku lat w czterech różnych miejscach, eksperymentowali oni ze wzajemnymi związkami tego, co tubylcze i nie-tubylcze, tradycyjne i współczesne. Ostateczna instalacja, stworzona przez samych artystów, obejmie rozmaite media, w tym rzeźbę, występy sceniczne, poezję, muzykę i wideo.

Wystawom towarzyszyć będą pokazy tańców, muzyki, teatru i filmu tubylczych Amerykanów, zatytułowane „**Ekspresyjna kultura**”. Prezentacja każdej z kategorii obejmie wyjaśnienia i demonstracje, które zapewnią szerszy kontekst kulturowy temu wszystkiemu, co zwiedzający będą mogli obejrzeć w salach muzeum.

Dodatkowa działalność, obejmująca wiele programów zaplanowanych dla Czwartego Muzeum, prowadzona będzie w Centrum Zasobów. Centrum to będzie między innymi oferować informacje na temat artystów i przedmiotów z pierwotnych ekspozycji oraz wprowadzać gości w szeroki zakres propozycji i możliwości muzeum. „**Skrzynki odkryć**” prezentować będą za pośrednictwem interaktywnych komputerów i fotografii osobiste wypowiedzi tubylczych Amerykanów oraz umożliwią gościom flizy-

czne dotknięcie i obejrzenie współczesnych wyrobów i dzieł sztuki. Każda skrzynka kryć będzie w swoim wnętrzu jeden temat, od wizyty u tkacza Majów Ixil, Juana Cavanaugha do kulturowej historii tubylczej społeczności w Nowym Jorku. Centrum Zasobów pomieści też bibliotekę obejmującą ponad 2000 tomów, plemienne gazety i czasopisma oraz dźwiękowe i wizyjne zapisy do indywidualnego użytku.

Dla Narodowego Muzeum Amerykańskich Indian nadeszły ekscytujące czasy. Umożliwiła je ciężka praca wielu ludzi i hojność mecenasów. Aby jednak nasza wizja zaowocowała w pełni, wciąż jeszcze wiele należy zrobić – wybudować dwie nowe placówki, ukończyć Czwarte Muzeum, doprowadzić do końca akcję zbierania 60 milionów dolarów na potrzeby naszego muzeum.



Kolekcja Heye'a

Przez dziesiątki lat nowojorskie Muzeum Amerykańskich Indian Fundacji Heye'a było mało znaną, poza wąskim kręgiem fachowców, placówką. Sprawy Indian były równie dalekie od codziennych problemów Nowojorczyków, jak samo muzeum odległe od kulturalnego centrum miasta i – co ważniejsze – od autentycznego przybliżenia nielicznym zwiedzającym świata kultury tubylczych Amerykanów. O jego niskiej randze świadczyć może choćby to, że nazwy muzeum próżno było szukać na listach kulturalnych atrakcji miasta, sporządzanych przez redakcję „The New York Times’a”.

Niewiele ludzi pamiętało, że w muzeum tym znajduje się największa, najobszerniejsza i najpełniejsza zapewne kolekcja sztuki i rzemiosła tubylczych ludów Ameryki Północnej, Środkowej i Południowej, której bezcenną z naukowego i artystycznego punktu widzenia wartość rynkową szacowano na ponad miliard dolarów. Tę liczącą ponad milion obiektów kolekcję zgromadził na przełomie stuleci nowojorski bankier i kolekcjoner George Gustav Heye, i od jego nazwiska nazywano ją Kolekcją Heye'a.

Ale nawet wtedy, kiedy to osiagnęliśmy, czekać nas będzie zawsze niekończące się wyzwanie podtrzymywania intelektualnej żywotności będącej sercem Narodowego Muzeum Amerykańskich Indian. Do nas należy dzieło wcielenia w życie naszej własnej wizji – wizji, na którą oczekiwaliśmy tak długo, dla osiągnięcia której pracowaliśmy tak ciężko, a której być może nigdy nie nazwiemy do końca. □

W. Richard West, Jr.

W. Richard West, Jr. pochodzi z plemienia Południowych Szejenów, jest dyrektorem – założycielem Narodowego Muzeum Amerykańskich Indian.

Na podstawie „Native Peoples”, Jesień 1994 przetłumaczył Marek NowoCIEN

Pomimo swej jakości, przez wiele lat kolekcja ta nie mogła zyskać należytego uznania w oczach władz nowojorskich, a dyrekcja muzeum bez powodzenia ubiegała się o znalezienie dla placówki godnej siedziby. W 1984 roku zdecydowano się nawet na rozpropagowanie zasobów i potrzeb muzeum w innych miastach, licząc się nie tylko z przeniesieniem placówki w inne miejsce kraju, ale być może także z częściowym jej rozproszeniem. Natychmiastowe odpowiedzi oraz konkretne propozycje finansowe m.in. z Las Vegas, Oklahoma City, Indianapolis i Denver spowodowały, że o muzeum przypominały sobie także władze miejskie i stanowe Nowego Jorku.

Konflikt ze zdecydowanym już na przeniesienie siedziby placówki do Dallas kierownictwem muzeum, niełatwo było załagodzić, ale do rozwiązania problemu przyczynił się rozumiejący nadrzędną wartość kolekcji mecenas sztuki, David Rockefeller. Dzięki jego staraniom Kolekcja Heye'a, już pod patronatem zasłużonego Instytutu Smithsona, znalazła godne miejsce w odrestaurowanym specjalnie na tę okoliczność budynku dawnego Urzędu Celniczego na dolnym Manhattanie przy Parku

Battery – w nowojorskiej siedzibie Narodowego Muzeum Amerykańskich Indian. Po niezbędnych pracach konserwatorskich udostępniono ją publicznie, wraz z innymi dziełami dawnej i współczesnej sztuki i rzemiosła tubylczych Amerykanów, 30 listopada 1994 roku (Muzeum czynne jest codziennie od 10–17, wstęp wolny).

Wybrane dzieła z Kolekcji Heye'a pokazano w ramach dwóch z trzech inauguracyjnych ekspozycji. Wystawa zatytułowana „Podróż Stworzenia”, zawiera najwartościowsze pod względem artystycznym i historycznym eksponaty pochodzące z dawnych kultur obu Ameryk. Są tam także skarby, jak krwistoczerwona tarcza Wron z wyobrażeniem myśliwego trzymającego w dłoni prawdziwego bociana, która odegrała znaczącą rolę w zwycięstwie nad Szejenami, owalny koszyk ludu Pomo, wykonany z piór kolibra, czy wspaniała XIX-wieczna maska obrzędowa z Północno-Zachodniego Wybrzeża.

Z kolei obiekty pokazane w ramach wystawy „Wszystkie drogi są dobre” zostały wybrane z kolekcji Heye'a przez samych Indian, twórców i teoretyków sztuki, ludzi potrafiących spojrzeć na muzealne eksponaty z innej, unikalnej i niedostępnej większości naukowców, perspektywy. Wystawa ta inicjuje nowy rodzaj nauki – już nie tej odciętej od głosów tubylczych społeczności, zamkniętej w świecie własnych definicji i sztucznych hierarchii wartości. Udowodniła istnienie nauki otwartej na opinie i reakcje samych Indian, definiującej elementy różnych kultur także – i przede wszystkim – z tubylczego punktu widzenia.

Odejście od traktowania poszczególnych przedmiotów jak pozostałości po wymarłych ludach na rzecz ukazania ich w kontekście materialnego, duchowego i społecznego bogactwa tubylczych kultur, oddanie głosu najbardziej uprawnionym do tego przedstawicielom indiańskich wspólnot, których członkowie w innym, ściśle określonym, celu tworzyli i używali niegdyś zgromadzone obecnie w muzeum przedmioty, wykorzystanie tradycji i osiągnięć wielu wieków i kultur z myślą o przyszłości kolejnych pokoleń – to tylko niektóre z wielu elementów składających się na tę nowatorską koncepcję Narodowego Muzeum Amery-

kańskich Indian. Bardzo dobrze, że zastosowano ją po pierwsze właśnie wobec unikalnej Kolekcji Heye'a.

W ciągu jednego pokolenia środowisko naukowe USA, a przynajmniej jego część, przeszło drogę od opisywanych przez Vine'a Deloria „antrosów”, następców generała Custer, zbawiających Indian w myśl własnych teorii i interesów, do ludzi oddających do użytku Indianom – i nam wszystkim – miejsce takie, jak to nowe Muzeum. Była to droga równie daleka, jak droga od wioski plemiennej do wioski globalnej. Indianie, którym nie tak dawno przepowiadano los odchodzących w zapomnienie muzealnych eksponatów, dziś urządzają tradycyjne pogrzeby zbieranych „w celach naukowych” szczątków swoich przodków, odzyskują dostęp do Kolekcji Heye'a i należących do nich eksponatów z innych muzeów oraz sami zostają ich dyktorami. Bowiem, jak napisał przed laty Vine Deloria, *kolo karmy mele powoll, ale dokladnie. I zataczapelnj Krag*. □

Marek NowoCIEN



POLSKIE OPISANIE ŚWIATA

Wystawa z okazji stulecia Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego (PTL) prezentuje polskie badania kultur pozaeuropejskich. Organizatorem jest Zarząd Główny PTL i Muzeum Narodowe we Wrocławiu.

Komisarzami poszczególnych działów są Janusz Kamocki i Antoni Kuczyński (Azja), Monika i Mieczysław Strzeszowscy (Australia i Oceania), Jacek Łapott (Afryka) i Janusz Jaskulski (Ameryka Północna i Południowa).

Nawystawie będzie przedstawiony dorobek najwybitniejszych polskich badaczy (B. Malinowskiego, J. Czekanowskiego, B. Piłsudskiego, M. Malkina, I. Domeyki i innych) w postaci efektów ich działalności, czyli zbiorów muzealnych i publikacji.

Ekspozycja zostanie otwarta 9 września 1995 roku w gmachu Muzeum Etnograficznego (oddział Muzeum Narodowego we Wrocławiu) przy ulicy Kazimierza Wielkiego 35 i potrwa do jesieni przyszłego roku.

Janusz Jaskulski

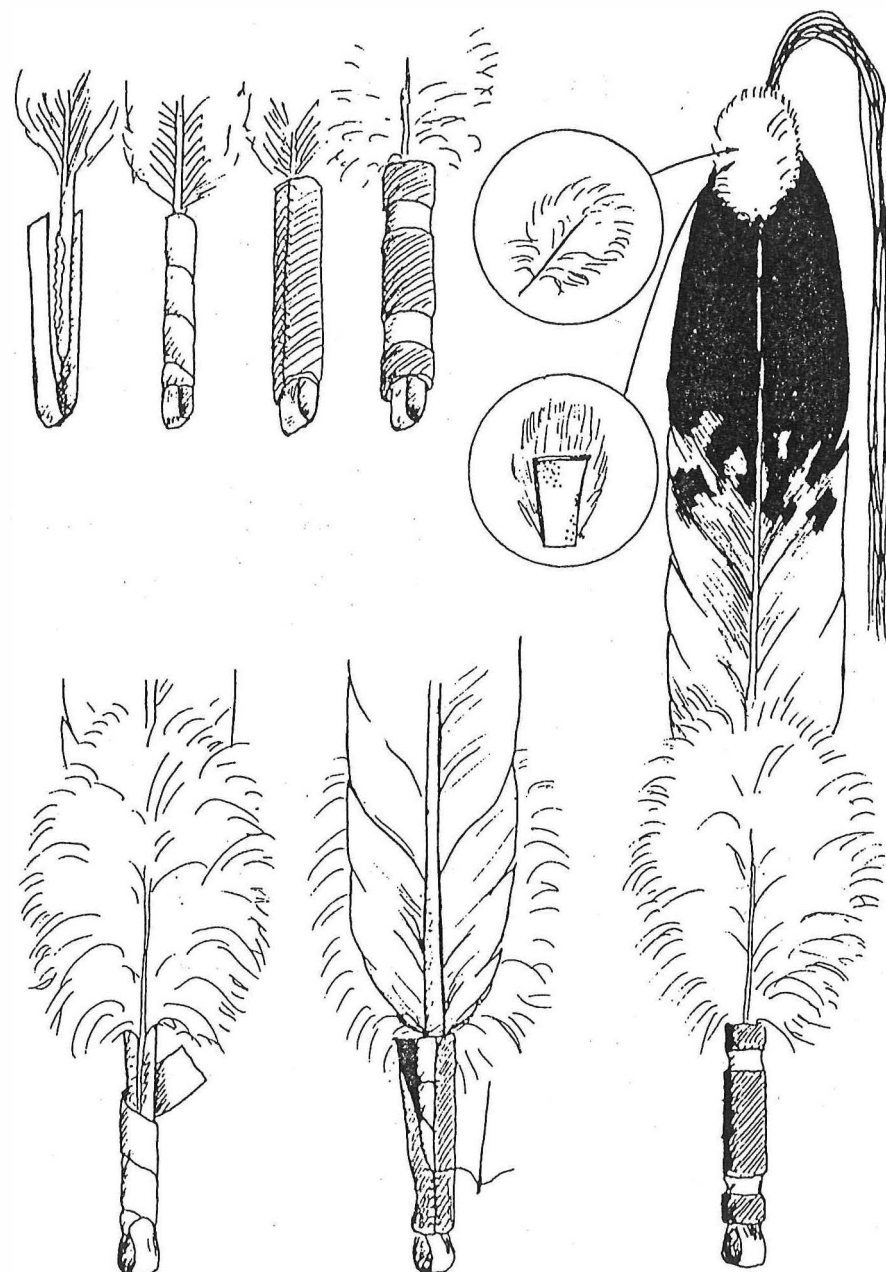
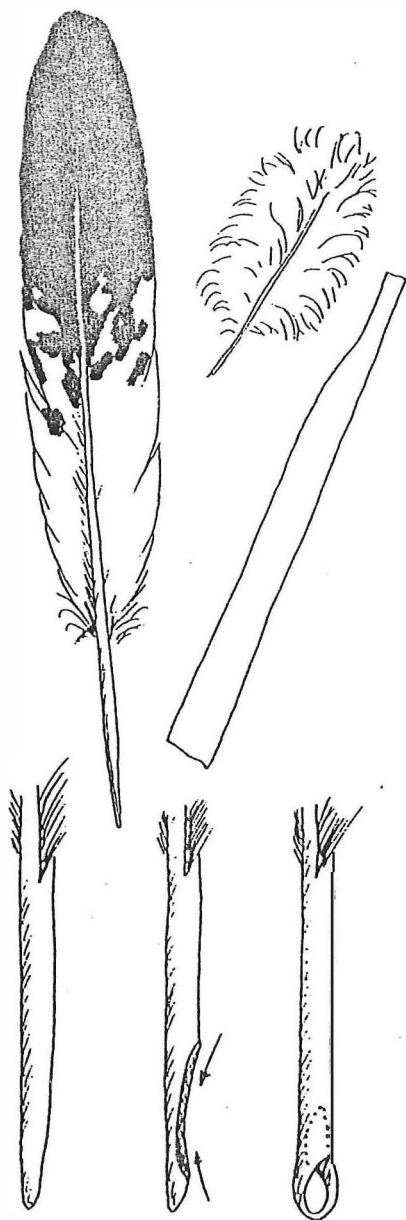
Ozdabianie piór

Pióra, które posładamy można ładnie wykończyć, nieco je ozdabiając. Najlepiej do tego celu nadają się duże pióra orle lub indyjskie, o naturalnych barwach. Potrzebne będą białe puchy, czerwona flanela, żółta włóczka lub rzemyk, kawałek białego króliczego futerka oraz barwione na czerwono lub żółto końskie włosie.

Pętelkę, dzięki której możemy zamocować pióro do różnych przedmiotów można wykonać dwoma sposobami. Pierwszy polega na zamoczeniu końcówki pióra w gorącej wodzie, aż zmięknie. Następnie wyciąć z boku pióra dwoma ciętami noża (zob. rysunek poniżej) otwór, zagłębienie końcówkę, wkładając ją do środka (można użyć kleju) i tworząc w ten sposób pętelkę. Owiniąć to kawałdem taśmy (może być samoprzylepna), wkładając pod nią dość duży puch (lub kilka mniejszych). Teraz przyłożyć kawałek czerwonej flaneli i zszyć go nitką po tylnej stronie pióra, przewłazując dwoma rzemykami lub owijając żółtą włóczką. Na czubku pióra przyklejamy kawałek puchu lub króliczego futerka wkładając pod spód żółte lub czerwone końskie włosie. Taką metodą ozdabiania Indianie stosują powszechnie. Obecnie pióra używane do wykonania pióropusza ozdabia się często kolorowymi puchami.

Na rysunkach pokazano także drugi sposób wykonania pętelki.

Miś



Gry i zabawy Indian

Kultury innych narodów są skarbnicą, z której korzysta się dzisiaj w naszym kraju. Przeszczepia się na rodzime grunty te z jej elementów, które frapują odmiennością, fascynują oryginalnymi rozwiązaniami, czy wreszcie niezwykłą praktycznością. Zapożyczenia dotyczą sztuki, języka, mody, obyczajów, wzorców zachowań i upodobań. Również ciekawe formy aktywności ruchowej ulegają temu procesowi. Przykładami mogą być światowe kariery takich form jak: piłka nożna, jazda na deskorolce, areobik czydalekowschodnie sztuki walki.

Próby zaadaptowania do polskich realiów gier i zabaw Indian Ameryki Północnej podjąłem głównie z dwóch powodów: pierwszym jest moja wieloletnia fascynacja kulturą Indian, systematyczne pogłębianie wiedzy o nich samych; drugim – chęć połączenia tych zainteresowań z wiedzą i praktyką zawodową. [Na poniższy artykuł składają się fragmenty pracy magisterskiej autora – przyp. red.]

Na temat gier i zabaw Indian brak polskiego piśmiennictwa. Istnieje za to bogata literatura amerykańska i dzięki uprzejmości pani Anny Kabat mogłem skorzystać z ich polskich tłumaczeń.

Zabawa jest formą działalności, która towarzyszy człowiekowi od najwcześniejszego okresu jego rozwoju, formą równie pierwotną co praca czy nauka. Te trzy formy spletały się przez całe życie człowieka: dziecko bawiąc się uczy, przygotowując się w ten sposób do przyszłej pracy i obowiązków. Człowiek dorosły bawiąc się wypoczywa i relaksuje się po pracy.

Zabawy i zabawki są znane nie tylko ludziom. U wielu gatunków zwierząt poszczególne osobniki poświęcają wiele czasu

zabawie. Obserwujemy na co dzień zabawy i harce kociąt i szczeniąt. Również w środowisku naturalnym można zaobserwować bawiące się zwierzęta: słonie taplające się w płytkiej wodzie i obrzucające się nawzajem roślinami, dziki podrzucające rozwidlone patyki, harujące w wodzie delfiny, które odbierają sobie pustą muszlę, czy wreszcie przemysłowe figle szopów praców.

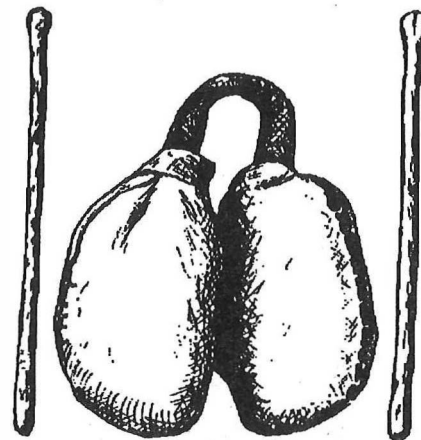
Trwałość niektórych gier budzi zdziwienie. Większość zabaw znanych naszym przodkom, dotrwała w niezmienionej formie do dnia dzisiejszego. To że dzieci na całym świecie korzystają nadal z wynalazków sprzed tysięcy lat, dowodzi wielkiej trafności i pomysłowości doboru naszych protoplastów.

Gry indiańskie przeprowadzano w różnych warunkach terenowych i klimatycznych, co wynikało z odmienności między poszczególnymi regionami Ameryki, zamieszkałymi przez ludy indiańskie.

Można wyodrębnić cztery podstawowe grupy gier: podwójna piłka, łucznictwo, śnieżny wąż, obręcz i tyczka. Oto przykład gier z pierwszej grupy.

Podwójna piłka

Gry tworzące tę grupę znane były przede wszystkim na wschodzie Stanów Zjednoczonych i na Równinach. Grały w nie głównie kobiety, choć w niektórych rejonach również mężczyźni, np. w północnej Kalifornii. Na wyposażenie składały się dwie piłki lub inne przybory (krążki drewna, kije, splecione wiązki trawy) połączone ze sobą sznurkiem lub rzemieniem oraz rzucanie tych piłek.



Przybory do gry w podwójną piłkę Sauków i Lisów.

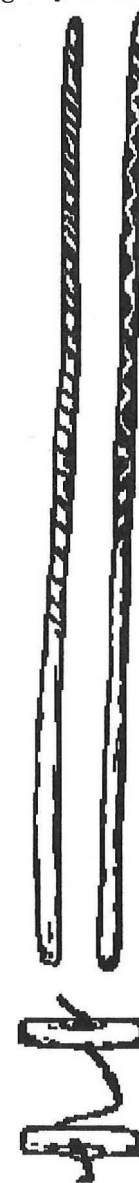
Piłki różniły się kształtem, wielkością i materiałem. Szeje nowle używali dwóch małych spłaszczonych piłek z jeleniej skóry, Algonkinowie obciążali piłki płaskiem, a wykonywano je często – wraz z łączącym je rzemieniem – z jednego kawałka skóry. Podobnych używali Indianie Pajute, natomiast Hupa wiązali rzemieniem dwa kawałki drewna w kształcie butelek. Kije były przeważnie gładkie, zakrzywione na końcu od 0.5 do 2 m długości. U Szoszonów miały one ponacinane karby. Zazwyczaj używano jednego kija, ale Catlin zaobserwował, że Dakoci posługiwali się w tej grze dwoma kijami. Dwie bramki zbudowane były z wbitych tyczek, usypanych z ziemi pagórków lub koła zawieszzonego na słupkach. Czasem bramką było po prostu drzewo. Boisko stanowił równy teren o wielkości od 270-360 metrów u Omahów, do 1500 metrów u Kri. Piłki były w różny sposób przenoszone po boisku, przetrzucane podaniami, podrzucane przez zawodnika w biegu albo niesione na kiju. Nie wolno ich było dotknąć ręką ani nogą.

Celem gry było wrzucenie piłki do bramki przeciwnika. Grze towarzyszyły często zakłady o wynik meczu.

U Sauków i Lisów z Iowa piłki wykonywano ze skóry i wypełniano płaskiem. Każda z nich miała długość prawie 40 cm.

Kije długości 1 m są lekko pogrubione na końcu. Przeciwne drużyny posługują się kijami w dwóch kolorach, czarnymi i białymi. Bramki tworzą dwa wolno stojące drzewa. Celem gry jest zarzucenie piłki na boczne konary drzewa należącego do przeciwników. Boisko liczy około 400 m długości. Gra zwana jest *konennohitwag*, piłka nazywa się *konanohaki*, czyli cynadry, a kije – *otchi*. Gra typowo kobieca.

U Indian Klamath z Oregonu piłki tworzyły dwa kawałki drewna długie na 15 cm i grube na 2,5 cm. Łączył je rzemień o długości 25 cm, który przewlekano na wylot przez otwory wykonane w środku każdego drzewienka. Kije robiono z wierzb, miały 1.3 m długości i zdobiły je dwie wypalone spiralne linie. Boisko miało 20 m długości, a bramkami były narysowane na ziemi linie, przez które należało przetrzucić piłki. W grze zwanej *tchilmá-ash* brało udział 2-10 zawodników, przeważnie kobiet.



Przybory do gry w podwójną piłkę Indian Klamath.

Indiańskie gry w polskich warunkach

Chcąc zaproponować dzieciom podczas lekcji WF lub rekreacji gry czy też zabawy Indian, trzeba je poddać niezbędnym przeobrażeniom. Podstawową przeszkodą do przeniesienia oryginalnych wzorców na polski grunt jest ogromna różnica w sprawności fizycznej dawnych Indian, nawet młodych, i dzisiejszych dzieci. W wielu grach trzeba było się wykazać wielką zręcznością, siłą czy wytrzymałością. Cechy te, niezbędne do utrzymania się przy życiu w warunkach włoski indiańskiej, nabywane były i rozwijane przez młodych Indian od pierwszych lat życia. Wiek rozwoju cywilizacyjnego, jego wpływ na polepszenie i ułatwienie życia ludziom w Europie wywarł zły wpływ na ich sprawność fizyczną.

Przystosowując indiańskie gry do możliwości ruchowych dzisiejszych dzieci, należy uprościć przepisy, zmniejszyć wielkość boiska i odległości, z których wykonuje się rzuty.

Bizone jadra

Liczba uczestników: dwie drużyny po 10-15 osób.

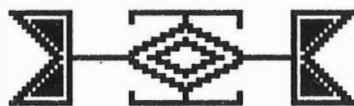
Boisko: trawiaste, o wymiarach ok. 30x60 metrów, oznaczone liniami albo chorągiewkami. Bramki okrągłe, o średnicy ok. 1 m (może być hula-hop), przywiązane na wysokości 20 cm od ziemi.

Przybory: dwie piłki uszyte ze skóry lub mocnego materiału, wypchane trocinami, szmatami lub piaskiem. Połączone grubym rzemieniem lub linką długości ok. 15-20 cm. Oprócz piłek gładkie kijki o długości ok. 1 m (optymalnie do pasa danego zawodnika); można wykorzystać do tego celu laski gimnastyczne.

Reguły: Każda z drużyn stara się wrzucić piłkę z dowolnej odległości do bramki przeciwnika, posługując się kijami. Piłki nie wolno zagrywać ani ręką, ani nogą, nie wolno jej także nieść na kiju więcej niż trzy kroki. Kwintesencją tej gry są długie łobowe podania i celne rzuty do bramki wyko-

nywane z dużej odległości. Jeżeli piłka znajdzie się poza boiskiem, wrzuca się ją z tego miejsca, w którym przekroczyła linię. Nie ma bramkarzy. Funkcję tę w razie zagrożenia bramki pełni najbliższy stojący zawodnik. Wolno mu jednak bronić tylko kijem. Takie przewinienia jak zagranie ręką czy nogą, nieumyślny faul itp. każe się rozumieć wolnym, wykonywanym na podobnych zasadach jak w piłce nożnej. Umysłne faule, obrona bramki ciałem – karane są rzutem do pustej bramki z połowy boiska. □

Jacek Gawroński



III Tubylcze Igrzyska

Ponad osiem i pół tysiąca indiańskich lekkoatletów weźmie udział w III Igrzyskach Tubylców Ameryki Północnej, jakie odbędą się w dniach 29 lipca – 6 sierpnia br. w miejscowości Blaine, w Minnesocie.

Zawodnicy będą startować w 10 dyscyplinach: łucznictwo, badminton, boks, wyścigi kanu, golf, strzelanie z karabinu, pływanie, bieg, maraton i zapasy. Drużyny natomiast będą współzawodniczyć w baseball'u, koszykówce i softball'u.

Dodatkową atrakcją będą pokazy *Tae Kwon Do*.

Po raz pierwszy Igrzyska Tubylców Ameryki Północnej odbyły się latem 1990 roku w Edmonton. Ich organizatorami byli przywódcy ludów tubylczych Alberta i członkowie „Parlament Willie Littlechild”. Drugie Igrzyska zorganizowane przez Federację Indian Prowincji Saskatchewan odbyły się w 1993 roku w Prince Albert i zgromadziły trzy tysiące siedmiuset lekkoatletów.

Kolejne, IV Igrzyska odbędą się w 2000 roku w Edmonton.

„The Nation”/MC

INDIAŃSKA KUCHNIA

Słowo *matterlławawkeeswush* pochodzi z kalendarza Wampanoagów i znaczy dyńle są dojrzałe i fasola jadalna. To okres od początku lipca do prawie końca sierpnia. Zaczynają dojrzewać dyńle i fasola. Trzysta lat temu w indiańskich ogrodach uprawiano różnego rodzaju dyńle, fasolę i kukurydzę, zapewniając w ten sposób stałą, zdrową dietę dla żyjących wtedy ludzi.

Na brzegach rzek leżało wiele muszli po mleczakach. Wykorzystywano je w roli talerzy, a także do wyrobu narzędzi, np. motyk. W lasach żyło mnóstwo wszelakiej zwierzyny, a wśród nich dwudziestokilogramowe indyki. Śledzi w przybrzeżnych wodach było tyle, ile mrówek. Tony łososią w rzekach, a trzy i pół kilogramowe homary jakby tylko czekały w miejscach pływo- wych na to, by je obrać i ugotować na parze. Każde miejsce obfitowało w różnorakie rośliny jadalne. Były to piękne czasy.

Wróćmy jednak do współczesności. Jeśli wejdziemy w posiadanie cukini, pomidorów i różnego rodzaju przypraw, możemy pogratulować sobie szczęścia.

CUKINIA INDIAN ZUNI i coś jeszcze

- 2 obrane cebule
- 2 rozgniecione ząbki czosnku
- 1/4 szklanki oleju jadalnego
- 2 cukinie lub żółte dyńle (krajane)
- 1 duża oberżyna (krajana)
- 2 ziela pieprzu pocięte na kawałki
- 2 pomidory (krajane)
- 1 łyżka stołowa soli
- 1/4 łyżeczki czarnego pieprzu
- 1 łyżeczka oregano
- 1 łyżeczka nasion kminku
- 1/4 pociętego kopru

W rondlu podsmażyć czosnek i cebulę na złoty kolor i połowę odłożyć na bok. Zmieszać sól, pieprz i wszystkie przyprawy razem. Pokrajaną cukinię położyć na pozostałą część cebuli i czosnku. Posypać mle-

szanką przypraw i polać jedną łyżką oleju. Na to położyć pokrajaną oberżynę, znowu posypać przyprawami i polać olejem. Na koniec dodać zieleni pieprzu oraz pozostałą część przypraw i oleju. Przykryć i piec w temperaturze 170°C przez jedną godzinę. Dodać pokrojone pomidory, a na wierzch odłożoną część cebuli i czosnku. Dodatkowo piec przez 15 minut. Podawać na ciepło.

CUKINIA WYKWINTNA

- 2 cukinie (krajane)
- 2 średnie cebule (krajane)
- 2 pokrojone boczek
- 1 łyżeczka suszonej bazylii (lub świeżej)
- 1/4 szklanki tego sera (cheddar)
- sól i pieprz

Ugotować boczki, wyjąć z rondla i oddzielić tłuszcz. Włożyć go z powrotem do rondla, dodając cebulę i cukinie podsmażając na złoty kolor. Później dodać bazylię, sól i pieprz, i razem wymieszać. Podrobić pozostałą część boczku, posypać utartym serem i piec około jednej minuty, aż do stopienia sera.

CHLEB OSĘDZÓW

- 4 szklanki mąki
- 2 łyżeczki soli
- 1 i 1/2 łyżki proszku do pieczenia
- 1 łyżka roztopionego tłuszczu (smalec, margaryna)
- 2 szklanki ciepłego mleka
- olej do smarowania

Do pojemnika przesłać mąkę, sól i proszek do pieczenia. Wymieszać z tłuszczem i mlekiem. Ugnieść i uformować w kulę. Delikatnie obtoczyć w mące i przeciąć na pół. Smażyć w gorącym (180°C) oleju, później wysuszyć na papierowym ręczniku. Chleb smakuje wyśmienicie z mieszanką syropu kukurydzianego i kapłącego z boczku tłuszczu.

Miś

Quebec! Quebec!

Historia lubi się powtarzać. Pod tym banalnym stwierdzeniem można rozpoznać swoiste cechy narodów i społeczeństw, które albo uczą się na doświadczeniu swych przodków, albo ślepo postępują według utartych schematów. Po ponad dwustu latach od podboju wschodniego wybrzeża Ameryki Północnej, tubylczy mieszkańcy Quebecu znów mają do czynienia z kolonizatorskimi zapędami rodem ze Starego Kontynentu. Zwolennicy pro francuskiej Partii Quebecańskiej (PQ) otwarcie dążą do oddzielenia tej prowincji od reszty Kanady i uniezależnienia się od rządu w Ottawie. I znów, jak przed wiekami, Indianie stoją na drodze postępu. Znów nie traktuje się ich poważnie, jakby nie w ogóle nie istnieli. Znów obce rządy i partie chcą decydować o losie tubylców, nie pytając ich o zdanie.

Indianie obawiają się, że separacja Quebecu spowoduje utratę traktatowych i terytorialnych praw, wynikających z Konstytucji Kanady. W organizowanych wśród plemion referendach przeważają głosy opowiadające się za pozostaniem w Kanadzie.

– Jeśli Quebec odłączy się od Kanady, Mohawowie i Akwesasne nie pójdą w jego ślady – powiedział Russell Roundpoint, wódz Akwesasne. – Mogą zabrać swoją ziemię, ale nasze nie dostaną. Mieliśmy trudne życie z Quebeciem i nie chcemy być częścią ich dążeń separatystycznych.

– Nikt nam siłą nie narzuci przeznaczenia niezgodnego z naszym wyborem – powiedział Zebedee Nungak, wiceprzewodniczący korporacji Makivik zarządzającej rozwojem ekonomicznym Inuitów, którzy w liczbie siedem i pół tysiąca osób zamieszkują północne tereny prowincji. – Pewnego ranka w 1912 roku, dokładnie 2 kwietnia, obudziliśmy się, żeby usłyszeć, że od dziś należymy do Quebecu. Jeden ruch pióra rozłączył nas z naszymi rodzinami żyją-

cymi na Terytorium Północno Zachodnim. Władze Quebecu lubią nam przypominać, że jest nas niewiele i jak mało się liczymy. My jednak znamy się na geografii.

Innuici wspólnie z Indianami Kri mają zdecydowaną większość na blisko połowie arktycznego obszaru prowincji i niewykluczony jest dalszy podział prowincji po jej oddzieleniu się od Kanady.

–Widzę, że w Quebecu powstanie nowy Mur Berliński – powiedział Jim Sinclair, przewodniczący Kongresu Ludów Tubylczych (CAP), apelując do Ottawy o wysłanie oddziałów wojskowych do obrony tubylców, jeśli prowincja zdecyduje się na odłączenie od Kanady.

Przewodniczący Zgromadzenia Pierwszych Narodów (AFN), Ovide Mercredi twierdzi, że w interesie Indian jest pozostanie w Kanadzie.

Kwestia separacji Quebecu jest jeszcze otwarta, choć premier Jean Chrétien uważa, że to tylko taka gadanina, że Quebec nie odłączy się. Niemniej jednak tubylcy organizują własne referenda i prowadzą dyskusje nad skutkami ewentualnej separacji tej prowincji od reszty Kanady. Jaki będzie ostateczny rezultat, przekonamy się wkrótce. MM

Główne grupy Indian w Quebecu

Nazwa plemienia	Ilość rezerwatów	Liczebność
Abenakowie	2	1748
Algonkinowie	9	7114
Atikamek	3	4336
Kri	9	11142
Huron-Wendat	1	2630
Malecite	2	393
Micmac	3	3966
Mohawowie	2	9631
Montagnais	9	12557
Naskapi	1	518
Razem	41	54035

Mocą traktatu Indianie trzymają się ziemi

Przybył do mnie w imieniu swego narodu wódz Indian Huron aby poddać się Jego Królewskiej Wysokości i zawrzeć pokój, oddając się pod moją rękę wraz z całym plemieniem. Od tej pory żaden angielski oficer nie będzie utrudniał i przeszkadzał im w powrocie do ich osady Lorette...

[Mogą oni] dobrowolnie wyznawać swoją religię, plełgnować swe zwyczaje i prowadzić handel z Anglią...

[Polecam] wydanie oficerom posterunków rozkazów przychylnego obchodzenia się z nimi. Poddali się pod moją rękę dnia 5 września 1760 roku.

– generał James Murray
(fragment traktatu)

Los czerwonych mieszkańców Ameryki, faktycznych właścicieli tej ziemi, nie jest wyjątkiem w historii ludzkiej rasy zaplanej bardzo grzesznymi dziełami.

– Sir Francis Head, 1839

Nic, co jest zawarte w tym porozumieniu nie może zaszkodzić prawom tubylczej ludności jako kanadyjskim obywatelom Quebecu.

– Porozumienie James Bay i Północnego Quebecu, 1975

Uznaje się i zapewnia istnienie tubylczych i traktatowych praw pierwotnej ludności Kanady.

– §35 Konstytucji Kanady, 1982

Odanak – Ludzie Jutrzenki (jak Abenakowie nazywają sami siebie), mieszkający w rezerwacie położonym 120 km na północny wschód od Montrealu, dumni są, że zawsze cieszyli się doskonałymi stosunkami z ich francuskojęzycznymi sąsiadami.

– Od wielu pokoleń byliśmy w dobrych stosunkach z Francuzami – powiedział Fernand Obomsawin, czcigodny starzec i naczelnik urzędu pocztowego, znajdującego się na terenie rezerwatu. – Moji przodkowie

nawet walczyli wspólnie z Francuzami przeciwko Brytyjczykom na Plains of Abraham – dodaje nawiązując do bitwy z 1759 roku.

Teraz jednak Abenakowie, którzy na terenie całej prowincji liczą tysiąc siedemset osób, nie kwapią się do przyłączenia do Partii Quebecańskiej (Parti Québécois) i poparli ich dążeń oderwania się od Kanady. W przejawie solidarności z innymi Pierwszymi Narodami Quebecu, Abenakowie twierdzą stanowczo, że Quebec nie może deklarować swej niezależności bez ich zgody.

Ich liczebność stanowi siłę polityczną

Zainteresowane całą sprawą, tubylcze ludy prowincji obawiają się, że niezależność Quebecu może naruszyć zarówno ich prawa traktatowe, jak i prawa do ziemi. Jednak licząca osiemdziesiąt tysięcy osób populacja Indian (statusowych i nie-statusowych) w Quebecu stanowi znaczną siłę polityczną.

Napięcie między Indianami a Quebecańczykami utrzymuje się od czasu kryzysu z 1990 roku w Oka, kiedy w trwającym 78 dni konflikcie stanęli na przeciw siebie Mohawowie i policja z całej prowincji.

Badania ostatnich lat wykazują, że większość mieszkańców Quebecu nie sympatyzuje ze sprawami Indian, zaś 52% zwolenników separacji uważa, że standard życia w rezerwach jest wyższy od stopy życiowej całego społeczeństwa Quebecu.

Obomsawin powiedział, że nie wyklucza zaistnienia kolejnego kryzysu, podobnego do tego z Oka. – Nie widzę żadnych korzyści w separacji – powiedział 63-letni Obomsawin w swoim wiejskim domku, z którego rozciąga się widok na rzekę St. Francois. – Chciałbym aby wszystko cofnęło się o dwa lata i żebym mógł żyć w spokoju. Separacja przysporzy moim ludziom jedynie kłopotów.

Spory o ziemię

Pierwsze Narody Quebecu domagają się zwrotu 2/3 ziem prowincji, i nie są w tym odosobnione. Indianie całej Kanady wysuwają roszczenia do ogromnej polaci kraju:

- Indianie Kri twierdzą, że mają prawo do 370 tysięcy km² ziemi północnego Quebecu (obszar większy od powierzchni Polski!).
- W sporze trwającym od 270 lat Mohawkwie z Kanesatake domagają się 670 km² ziemi, na której obecnie znajduje się port lotniczy Mirabel.
- Indianie Attikamek i Montagnais prowadzą negocjacje w sprawie 550 tysięcy km² ziemi rozciągającej się od doliny St. Maurice po granicę Labradoru.
- Algonkinowie znad jeziora Barrier, żyjący na północny zachód od Montrealu, powiedzieli, że nigdy nie opuścili ziemi, zwanej dziś Wzgórzem Parlamentarnym.
- Ziemia jest kluczem do całej tej debaty
- powiedział w wywiadzie Ghislain Picard, przewodniczący Zgromadzenia Pierwszych Narodów (AFN), oddział Quebec.

**Kanesatake żąda ziemi
Ottawa odmawia**

Rząd Kanady odrzuca roszczenia ziemskie mieszkańców Kanesatake, ale skłonny jest prowadzić negocjacje końcowych porozumień z przedstawicielami Indian. Michael Robert, który w grudniu rozpoczął rozmowy z radą rezerwatu, powiedział, że rząd nie może uznać w pełni wszystkich roszczeń Kanesatake do ponad 170 tysięcy hektarów ziemi. Obszar ten rozciąga się od brzegów jeziora Two Mountains ku północy, aż do lotniska Mirabel.

- Spodziewamy się oddania nam naszych rodowych ziem - powiedział członek grupy negocjacyjnej, dodając, że rada re-

zerwatu nigdy nie brała pod uwagę możliwości finansowej rekompensaty. - Taka oferta jest nie do przyjęcia.

Ottawa i Kanesatake podjęły na nowo negocjacje po dwóch latach, po tym, jak zostały one zerwane przez byłych konserwatystów. Jako wstępne warunki ponownego podjęcia rozmów, Ottawa obiecuje nabycie dodatkowych terenów niezbędnych do skompletowania podstawowego terytorium dla Mohawków z Kanesatake.

Robert zaznaczył, że rząd wydał już 10 milionów dolarów w 1990 roku, wykupując od prywatnych właścicieli prawie sto hektarów ziemi wokół Oka, wypełniając lukę i łatając 320-hektarowy obszar, którzy tworzy Kanesatake.

Kateri Tekakwitha

Blisko sześćset osób przybyło 23 kwietnia do Kahnawake, aby uczcić Kateri Tekakwithę (1656-1680), Indiankę Mohawk, ogłoszoną błogosławioną w 1980 roku przez Jana Pawła II. Uczestnicy nabożeństwa, wraz z dwoma autokarami katolickich Filipińczyków z Montrealu i gwardia honorowa Rycerzy Kolumba, zapełnili w dniu święta Kateri stary, drewniany dom misyjny, będący sanktuarium błogosławionej.

Diakon Ronald Boyer z misji świętego Franciszka Xaviera z Kahnawake powiedział, że ludzie widzą w Kateri moc leczenia rozdarć pomiędzy chrześcijaństwem a kulturą tubylczą, wśród której dużo za swego życia wycierpiała.

Na potwierdzenie tego przytoczył wydarzenie, jakie miało miejsce parę dni temu w rezerwacie Akwesasne, który odwiedził w celu spotkania się z miejscowymi katolikami. Wtedy to właśnie zjawiała się też grupa strażników wiary Długiego Domu. Nie mające precedensu spotkanie, upłynęło na omówieniu wielu drażliwych problemów, nurtujących społeczność rezerwatu.

**Pierwsza hiena
cmentarna w sądzie**

Na początku 1994 roku kolekcjoner indiańskich dzieł sztuki zaoferował pewnemu klientowi sprzedaż wisiorów z korallików, opasek, zębów bizona i kości, którą scharakteryzował jako „żebro Szejena”. Badania wykazały, że nie było to żebro, a część nogi, zaś klientem był nie umundurowany funkcjonariusz Biura Obrótu Ziemi.

49-letni kolekcjoner, Richard P. Maniscalco jest pierwszą osobą oskarżoną na mocy ustawy zatwierdzonej w 1990 roku, zabraniającej „transportowania, kupowania lub sprzedaży szczątków indiańskich”.

Maniscalco grozi grzywna od stu tysięcy dolarów za każdy przedmiot po rok więzienia, również za każdy oferowany przedmiot.

Grabieżcy (tzw. hieny cmentarne) od dawna wiedzą, że ekskluzywnie antykwaryaty chętnie przyjmują relikty indiańskie, znajdowane w grobach, w których razem z zwłokami grzebano także ozdoby, garnki i narzędzia należące do właściciela. Władze federalne są często bezsilne wobec tego procederu, gdyż ekipy łowców sztuki są doskonale wyposażone w najnowsze wynalazki techniki, urządzenia do wykrywania i wczesnego ostrzegania o zbliżających się patrolach policji.

Prowadzący śledztwo powiedzieli, że kości oferowane przez Maniscalco zostały wykradzione z Narodowego Parku Bitwy nad Little Bighorn. Według zeznań, Maniscalco otrzymał je od „włóczęgi, który zbierał je po nocach”.

Służba Parku Narodowego zanotowała w ubiegłym roku ponad sześćset przypadków kradzieży. David Tarler, funkcjonariusz Służby Parku, powiedział, że prawo nie każe jeszcze zorganizowanego rynku przestępczego, który obejmuje zarówno sezonowych zbieraczy, jak i niektóre renowowane domy aukcyjne.

- Wystarczy zajrzeć do ich katalogów, aby dowiedzieć się, czy nowa dostawa już doszła, czy jeszcze nie - powiedział Tarler.

Przy wielkim rozkwicie międzynarodowego handlu sztuką indiańską, cena dobrze zachowanego garnka ceramicznego może dojść do 30 tysięcy dolarów. Prowadzący śledztwo powiedzieli, że grabieżcy, którzy często nazywają siebie łowcami skarbów, przeważnie ukrywają swą profesję, pracują w nocy i podczas burzliwej pogody.

Powrót Białej Bizonicy

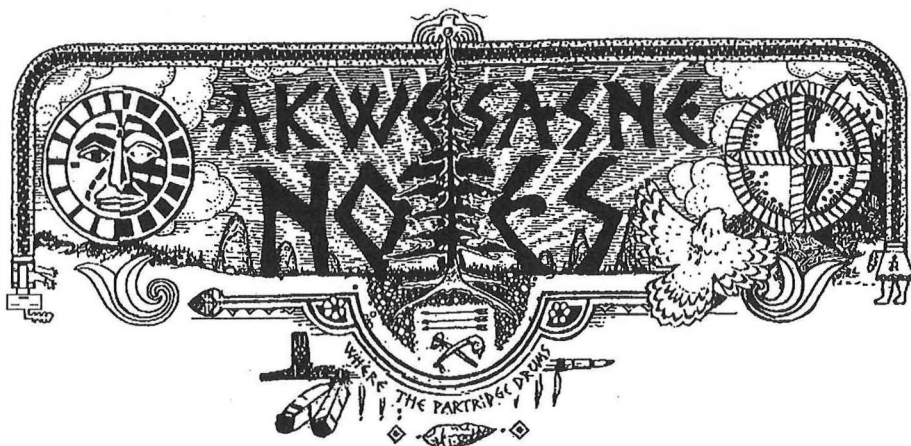
Od sierpnia ubiegłego roku tubylczy Amerykanie zaczęli zjeżdżać się na farmę Dave'a i Valerie Helderów, niedaleko miejscowości Janesville w stanie Wisconsin. Niektórzy przyjechali aż z Alaski. Modlą się, składają ofiary i podziękowania za Cud - białą bizonicę, urodzoną na farmie 20 sierpnia 1994 roku.

Helderowie nie wiedzieli, że biała bizon - genetyczna rzadkość - zajmuje poczesne miejsce w kulturze tych plemion tubylczych Amerykanów, które niegdyś opierały na bizonie całą swą gospodarkę.

Artur Amlotte, łakocki profesor studiów tubylczych mówi, że jego ludzie wierzą, iż mityczna kobieta zamieniła się w białą bizonicę po przyjściu do nich w czasie głodu, i że jej powrót oznacza wielkie zmiany. Starzec przechowuje jej święty dar, obrzędową fajkę.

Kiedy jesienią cielę przestanie korzystać z pokarmu matki, Towarzystwo Amerykańskiego Bizona przeprowadzi testy genetyczne, aby przekonać się, czy cielę jest czystym bizonem, czy krzyżówką z krową. Zdaniem Tracy Walker, zoologa z Uniwersytetu stanu Oklahoma, narodziny białego bizona zdarzają się niezmiernie, niezmiernie rzadko.

Na podstawie wycinków prasowych (z „The Gazette”, „The Nation”, „The New York Times” i „National Geographic”) nadesłanych przez Michaela T. Benwella (*Thanks Mike*), sekretarza Narodu Mohawków z Kahnawake, serwis informacyjny opracował Marek Cichomski.



FILOZOFIA „AKWESASNE NOTES”

„Akwasasne Notes” to najstarsze czasopismo tubylcze w Stanach Zjednoczonych. „Akwasasne Notes” darzone jest wielkim uznaniem na arenie międzynarodowej za dostarczanie rzetelnej informacji o położeniu ludów tubylczych na całym świecie.

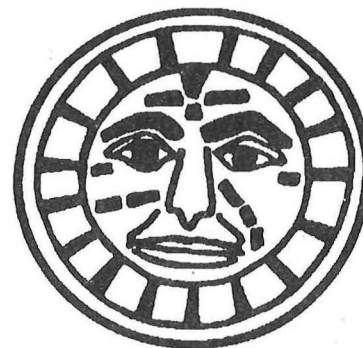
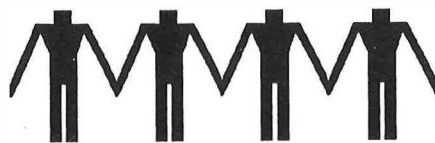
„Akwasasne Notes” wyrosło na bazie działań w rezerwacie Akwasasne, odwołujących się do zasady nieszkodzenia przemocy, których przebieg należało zrelacjonować i przekazać innym, aby ludzie mogli uczyć się na doświadczeniu Mohawków. W błyskawicznym tempie pismo rozrosło się, publikując doniesienia od innych ludów tubylczych, mających podobne problemy, ale bez możliwości dotarcia do opinii społecznej poza granicami kraju.

„Akwasasne Notes” przekonało się, że na zachodnie media nie można było w owym czasie liczyć, że nie były one zainteresowane przedstawieniem współczesnej kondycji tubylczych kultur, jakby nasze położenie i doświadczenie znajdowały się daleko poza zasięgiem ich zrozumienia. Nasze oświadczenia stawiały nas w bezpośredniej konfrontacji z tymi gigantami, w których widziano postęp i rozwój, jak i pustoszyły

ziemię, powietrze, wodę i wszystkie pozostałe części Tworzenia.

„Akwasasne Notes” zostało określone mianem Pisma Adwokackiego. Jesteśmy dumni z jego pozytywnego znaczenia. Jesteśmy adwokatami fundamentalnych praw człowieka, łącznie z prawem do samookreślenia. Występujemy w obronie i o przetrwanie tubylczych kultur, języków, stylu życia, wierzeń i pokrewieństwa z ziemią. Doradzamy rozsądne wykorzystywanie technologii, aby każda decyzja polityczna i ekonomiczna podejmowana dziś z myślą o Siedmiu Pokoleniach, jakie się jeszcze nie narodziły. Piśmiemy dla tych, którzy uprawiają kultury będące lekarstwem dla ziemi.

Zachęcamy czytelników i prenumeratorów do współpracy w przekazywaniu informacji i pomaganiu tym, którzy potrzebują ich wsparcia.



Pass the word,
„Akwasasne Notes” is back!

Po dwóch latach zawieszenia ukazał się nowy numer największego i najbardziej cenionego (zob. „Tawacin” nr 1[18], zima 1992) czasopisma tubylczych Amerykanów, wydawanego przez Mohawków z rezerwatu Akwasasne w stanie Nowy Jork.

Wszystko zaczęło się w grudniu 1968 roku w kuchni Ernesta M. Kalentaronken Benedicta z klanu wilka w rezerwacie Mohawków Akwasasne. Mohawkowie zablokowali wtedy międzynarodowy most na rzece św. Wawrzyńca protestując przeciwko ograniczeniu ich prawa do swobodnego przekraczania granicy. Wielu Mohawków pracowało po obu stronach mostu (rzeka św. Wawrzyńca dzieli rezerwat Akwasasne na dwie części: amerykańską i kanadyjską), tam mieli swe rodziny i przyjaciół. Aby cała sprawa nabrała rozgłosu, trzeba było poinformować opinię społeczną o trudnej sytuacji Indian. Ernest uważał, że już najwyższy czas aby tubylcy mogli się swobodnie wypowiadać, dzielić się swymi ideami i wartościami kultury, zajmować własne stanowisko i przedstawiać swoje propozycje rozwiązywania problemów. Od początku istnienia „Akwasasne Notes” udostępniało swe łamy wszystkim tubylcom (także poza granicami USA), którzy nie mieli innej możliwości przedstawienia swych racji.

Także dla nas, członków Polskiego Ruchu Przyjaciół Indian, „Akwasasne Notes”

pełniło ważną rolę. Wyznaczało zakres naszych zainteresowań, proponowało system wartości oparty na tradycjonalizmie, rodzinie i świętości całego życia. Od początku lat siedemdziesiątych, dzięki tłumaczeniom Indiankiej Babci, Stefani Antoniewicz, dowiadaliśmy się, co się dzieje w Indianzkiej Ameryce, jak żyją dziś potomkowie walecznych Indian, o których czytaliśmy w popularnych powieściach. Do końca życia będziemy żywić sentyment do słynnych złotych kopert, w jakich redakcja przysyłała nam kolejne numery. W owych czasach był to dla nas kawałek innego świata. To także dzięki „Akwasasne Notes” mógł później powstać „Tawacin”.

Wszystkich, którzy pamiętają wygląd pozłótkich kartek, kruchych od starości i wielokrotnego przewracania, czeka miła (?) niespodzianka. „Akwasasne Notes” ukazuje się jako kwartalnik w zmienionym formacie (A4, 112 stron) i przypomina magazyn „National Geographic”. Kolorowa okładka, kolorowe fotografie w środku, biały kredowany papier. Redakcję objął ponownie Mark Narsisian, który prowadził pismo na początku lat osiemdziesiątych. Wrócił też inni współpracownicy.

Pierwszy numer nowej serii jest w zasadzie poświęcony wyłącznie sprawom Mohawków. Obok gościnnych felletonów twórców i redaktorów pisma, można przeczytać o ostatnich wydarzeniach wśród Mohawków, o ich okrągłym stole z Kanadą, o utworzeniu sieci wolnego handlu między trzema rezerwatami: Akwasasne, Kahnawake i Kanesatake. Ponadto trochę artykułów wspomnieniowych, o dwusetnej rocznicy traktatu Canandaigua z 1794 roku (ostatnio mogliśmy obejrzeć dwa filmy nawiązujące do tych czasów: *Zerwane więzy* i *Król Mohawków*). Starym zwyczajem w numerze także: poezja, recenzje książek i informacje o tubylcach całej Wyspy Żółtej. No i oczywiście sporo pięknej, kolorowej grafiki, głównie Johna Faddena. Coś niesamowitego.

Na końcu czeka nas pełne zaskoczenie: informacja o prenumeracie... po polsku! 35\$ na rok.

Podajcie hasło: „Akwasasne Notes” ukazuje się znowu!

MM

Dziesięć lat temu, zanim wielkie koncerty płytowe dostrzegły – i doceniły – współczesną muzykę indiańską, dwóch przyjaciół z rezerwatu Maliotenam w północnym Quebecu i Labradorze utworzyło duet **Kashtin**, którego nazwa w języku ich tubylczego narodu Innu (Montagnais) oznacza „tornado”.

KASHTIN – droga do sławy

Grający na gitarach akustycznych 27-letni Claude McKenzie i 32-letni Florent Vollant to tylko dwie z dwunastu tysięcy osób mówiących językiem Innu – i prawdopodobnie jedyne dwie, które w tym języku nagrały rockowe piosenki. Kiedy Vollant śpiewa „Nikanish”, pierwszy utwór z wydanej przez Sony/TriStar płyty *Innu*, natychmiast zapomina się o barierze językowej. W pamięci słuchaczy pozostaje jedynie wysoki wokół Vollanta i poruszająca melodia.

„Można zarobić więcej, jeśli śpiewa się po angielsku – mówi McKenzie – ale jeżeli będziemy śpiewać po angielsku, nie będziemy równie zadowoleni. Nie byłibyśmy też zadowoleni, gdybyśmy śpiewali po francusku. A my chcemy się dobrze bawić i być sobą.”

„Bycie sobą” oznacza w ich przypadku dzielenie się piosenkami, w których wyznają swoją miłość do ziemi i do rodziny. W „Ushima”, piosence z *Innu*, McKenzie swoim głębokim, brzmiałym głosem śpiewa starą pieśń ułożoną niegdyś przez jego dziadka na powitanie nowej kobiety przybywającej do klanu. W trzuminutowej wersji **Kashtin**, McKenzie gra na banjo.

Teksty zespołu **Kashtin** nie tylko dokumentują ich korzenie, ale także ich życie i dążenie do muzycznej sławy. McKenzie jest autorem słów do utworu „Nekashuamani!”. „To piosenka o tym, jak staje się na scenie – wyjaśnia. Wewnątrz okładki płyty *Innu* teksty przetłumaczone są na angielski. – Kiedy *Tshiko* zapala światła i staje przed nami, a my stajemy przed wami, *Nekashuamani!* Cóż robić? Dalej *Tshiko*, zapalaj... zapalaj, *Nekashuamani!*”

Sceniczna trema i radość mieszają się w „Harricana”, czyli „długiej drodze” w języku Algonkinów. Dla grupy **Kashtin** była to rzeczywiście długa droga. „Myślę, że nasza wspólnota zaczyna chcieć, byśmy stali się sławni i dali innym dobrą pracę” – żartuje McKenzie. Licząca dwa tysiące osób społeczność Innu podzieliła ich marzenia.

Uznanie dla McKenzie’go, Vollanta i ich czteroosobowej grupy przyszło w 1990 roku na międzynarodowym Letnim Festiwalu w Quebec City. Wkrótce potem **Kashtin** rozgrzewał publiczność przed kanadyjską trasą koncertową „Gypsy Kings”, a następnie poleciał do Francji, gdzie wystąpił w telewizji razem z Danielem Lanois.

Fragmenty pierwszej płyty **Kashtin** oraz utwory z płyty *Innu* pojawiały się m.in. w kolejnych odcinkach „Przystanku Alaska”. Ukoronowaniem dotychczasowej kariery jest najnowszy album, wydany jesienią 1994 roku. „Ten nowy album jest spokojniejszy, bardziej miękki od *Innu* – mówi McKenzie. – Kiedy mówię „miękki”, mam na myśli „nie przejmuj się, odpocznij”. Uradowany nową płytą McKenzie opowiada, że występuje na niej francuski perkusista Manu Katche, który kiedyś współpracował z Peterem Gabrielem, a teraz występuje razem ze Stingiem. W utworze „Akua Tuta” występuje także Indianin z plemienia Mohawków, Robbie Robertson – słynny gitarzysta i kompozytor, założyciel grupy „The Band”.

Według Paula DeGooyera, producenta z TriStar, **Kashtin** nagrał piosenkę „Akua Tuta”, czyli „Malutki” na wydaną w paź-

dzielniku 1994 roku płytę Robbi Robertsona 1 „The Red Road Ensemble” (zob. „Tawacin” nr 1[29] 1995). Album ten, zatytułowany *Music for the Native Americans* (Muzyka dla Tubylczych Amerykanów), został nagrany jako ścieżka dźwiękowa do poświęconego historii i kulturze Indian 6-godzinnego programu dokumentalnego telewizji TBS, a wydany na płycie CD zyskał dobre oceny krytyki i popularność wśród słuchaczy. *Music for Native Americans* zawiera utwory rozmaitych tubylczych muzyków zaproszonych przez Robertsona. Obok **Kashtin** występują tam m.in. czirokeska piosenkarka soulowa Rita Coolidge z rodziną oraz nagrywająca dla popularyzującej tubylczą muzykę firmy płytowej Eagle Thunder/Canyon tradycyjna grupa „Red Thunder”.

II Przegląd filmów o tematyce indiańskiej

W dniach 22-23 kwietnia 1995 roku w Państwowym Muzeum Etnograficznym w Warszawie odbył się II Przegląd filmów o tematyce indiańskiej z inicjatywy Grupy Warszawskiej Polskiego Ruchu Przyjaciół Indian. Impreza ta cieszyła się olbrzymią popularnością (ponad trzystu uczestników) w porównaniu z rokiem ubiegłym (około siedemdziesięciu), a to za sprawą mediów: rozgłośni radiowych Wa-wa, S-ka, Rozgłośni Harcerskiej; Warszawskiego Ośrodka Telewizyjnego i „Gazety Wyborczej”, a także akcji plakatowania miasta.

Na imprezie gościliśmy ludzi z całej Polski (Białystok, Radom, Pionki).

Widzowie wchodząc do Muzeum mogli podziwiać skromną ekspozycję przygotowaną przez Grupę Warszawską oraz Kaśkę z Radomia i Miśka z Pionek.

Siedem gablot wypelniały indiański strój (koszula, leginy, mokasyny), fajka, bęben, a także różnego rodzaju wyroby z koralików, kości i skór. Ściany nad gablotami zdobiły reprodukcje znanych grafik Karla Bodmera (m.in. Wojownik-Pies Hidatsów).

Nieopodal swoje stoiska rozłożyli organizatorzy i Indianie z Peru, można tam było się zaopatrzyć w literaturę („Tawacin” i inne wydawnictwa), a także ozdoby Indian z obu Ameryk.

Niezależnie od nagrywania albumów, **Kashtin** wiele koncertuje, nie zapominając o indiańskich rezerwach i występuje w filmach wideo, w tym w specjalnym programie kanadyjskim, poświęconym życiu w rezerwach. Koncerty Sony Canada nagrał ich występ na żywo jako reklamę nowej płyty. Duet wystąpił też jesienią ubiegłego roku podczas ceremonii otwarcia nowej siedziby Narodowego Muzeum Amerykańskich Indian w Nowym Jorku.

Rosnącą popularność grupy **Kashtin** podsumowuje McKenzie – „Nie jest ważne, kim jesteśmy. Najważniejsze jest, czego chcemy. My chcemy tylko powiedzieć, że wciąż istniejemy... Mówimy o Indianach.”

Na podst. prasy tubylczej i okładek płyt opracował Cień

Widzowie obejrzeli cztery filmy: *Syn Gwiazdy Porannej*, *Koyaanisqatsi*, *Thunderheart* i *Prorocstwo Hopi*. Ola Kuncewicz poprowadziła prelekcję na temat Świętego Biegu, w czasie której pokazano film *Sacred Run*.

Prelekcję tę uświetniły dźwięki fletu Kevina Locke’a (z kasety). W czasie przerw widzowie mogli posłuchać tradycyjnej muzyki Indian z Ameryki Północnej w wykonaniu takich grup, jak Red Bull, The Black Lodge Singers, Black Stone czy American Indian Dance Theatre (również odtwarzanej z magnetofonu).

Jedyną skazą na tym pięknym obrazie była niekompetencja operatora sprzętu wideo, który dostarczył niesprawny magnetowid, a następnie zniknął na ponad godzinę, w wyniku czego widzowie oglądający *Syną Gwiazdy Porannej* czasami nie słyszeli głosu – przez co imprezę opuściła znaczna część publiczności. Lecz mimo to miłośników, co zostali oraz ich zadowolone miny i pochlebne opinie poprawiły atmosferę i samopoczucie organizatorów.

Biorąc pod uwagę nowe kontakty impreza ta spełniła swoje zadanie – Grupa Warszawska ma szansę się powiększyć i zacząć działać z większym rozmachem.

Już teraz myślimy o następnym, III Przeglądzie i o innych imprezach (w czerwcu na Uniwersytecie Warszawskim odbędzie się wieczór poświęcony Indianom). Dziękuję wszystkim, którzy pomogli w organizacji tej imprezy oraz wszystkim uczestnikom.

Przemysław Bartuszek

INDIAŃSKIE „OSCARY”

Od trzech lat społeczna organizacja „First Americans In The Art” (FAITA – Pierwsi Amerykanie w Sztuce), zrzeszająca zarówno tubylczych, jak i nie-tubylczych profesjonalistów w dziedzinie przemysłu rozrywkowego, przyznaje nagrody tubylczym Amerykanom za szczególne osiągnięcia artystyczne. Uroczystość przyznania Orlego Pióra (symbol szacunku) odbyła się 11 lutego br. w Hotelu Doubletree w Marina del Rey. Gospodarzem wieczoru był laureat ubiegłorocznej nagrody, Larry Sellers (rola Tańczącej Chmury w serialu *Dr Queen*), zaś prezenterami: Michael Horse (*Twtn Peaks*), Steve Reevis (rola Chato w *Gerontmo*) i Floyd Red Crow Westerman. Nagrody przyznano w 18 kategoriach. Na szczególną uwagę zasługuje Tantoo Cardinal (zob. Tawacin nr 3[20] z 1992), która zdobyła Orle Pióro w dwóch kategoriach: za najlepszą aktorkę i za rolę drugoplanową. Aktorkę tę często można zobaczyć i na polskich ekranach (*Tańczący Z Wilkami*, *Czarna Suknia*, *War Party*, *Jeździec z zaświatów*, *Dr Queen* i ostatnio *Król Mohawków*). Wśród laureatów znaleźli się także: Elaine Miles (*Przystanek Alaska*), Gordon Tootoosis (wcielany u nas w *Jeźdźcu z zaświatów*) i Wes Studi (*Tańczący Z Wilkami*, *Ostatni Mohikanin*, *Gerontmo*, *Zerwane więzy*). Nagrodę za najlepszy debiut zdobył jedenastoletni Sekwan Auger za rolę w filmie *Legends of the Fall*, natomiast specjalną nagrodę Zarządu FAITA otrzymał Iron Eyes Cody za wieloletni wkład w tubylcze środowisko artystyczne.

Pełna lista laureatów:

Najlepszy aktor – ADAM BEACH (Ojibway) – *Squanto: A Warriors Tale* (produkcja: Disney)
Najlepsza aktorka – TANTOO CARDINAL (Cree) – *Where The Rivers Flow North* (Caledonia Pictures)
Najlepsza rola drugoplanowa dla aktora – GORDON TOOTOOSIS (Cree) – *Legends Of The Fall* (TriStar Pictures)

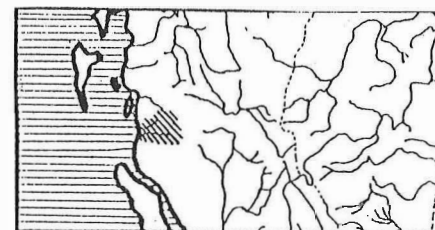
Najlepsza rola drugoplanowa dla aktorki – TANTOO CARDINAL (Cree) – *Legends Of The Fall* (TriStar Pictures)
Najlepszy aktor w filmie telewizyjnym – AUGUST SCHELLENBERG (Mohawk) – *Lakota Woman* (TNT)
Najlepsza aktorka w filmie telewizyjnym – IRENE BEDARD-WILSON (Inupiat/Cree) – *Lakota Woman* (TNT)
Najlepsza rola drugoplanowa dla aktora w filmie telewizyjnym – LAWRENCE BAYNE (Pequits) – *Lakota Woman* (TNT)
Najlepsza rola drugoplanowa dla aktorki w filmie telewizyjnym – LOIS RED ELK (Dakota/Lakota) – *Lakota Woman* (TNT)
Najlepszy debiut filmowy – SEKWAN AUGER (Big Stone Cree) – *Legends Of The Fall* (TriStar Pictures)
Najlepszy aktor w serialu – GRAHAM GREENE (Oneida) – *Przystanek Alaska* (CBS)
Najlepsza aktorka w serialu – ELAINE MILES (Nez Perce/Cayuse) – *Przystanek Alaska* (CBS)
Najlepsza rola gościnna w serialu dla aktora – TIM SAMPSON (Creek) – *Przystanek Alaska* (CBS)
Najlepsza rola gościnna w serialu dla aktorki – TAILINH PRADO (Blackfeet/Narragansett) – *Walker, Texas Ranger* (CBS)
Najlepsza rola nietypowa – WES STUDI (Cherokee) – *Streetfighter* (Universal)
Największe osiągnięcia muzyczne – SONG-CATCHERS (A&M Records) i R. CARLOS NAKAI (Canyon Records)
Nagroda im. Willa Sampsona – agencja artystyczna NATIVE AMERICAN PUBLIC BROADCASTING CONSORTIUM (Frank Blythe)
Humanitarna nagroda FAITA za pozytywną postać tubylczą – FREE WILLY (Indiański bohater kreskówki) – (Nelvana/Warner Bros.)
Nagroda Zarządu FAITA – IRON EYES CODY

Oprac. MM na podstawie „Akwasasne Notes” Vol. 1, No. 1. 1995.

ZNANI I NIEZNANI

BELLACOOOLA

Nazwa nadana im przez Indian Kwakiutl; znaczenie nieznane. Fonetyczna forma nazwy to B'l'xula. Zwanii także: **Naród Tallion** (Tallion Nation) – od nazwy ich własnej miejscowości, w dawnych raportach Kanadyjskiego Biura Indiańskiego. **Język:** Są odosobnioną grupą należącą do **saliszkańskiej** rodziny językowej. **Rozmieszczenie:** Zamieszkiwali tereny nad Północną i Południową zatoką Bentineck oraz nad rzekami Dean i Bella Coola w kanadyjskiej prowincji Kolumbia Brytyjska.



Podział: Obecnie istnieją dwie grupy BELLACOOOLA: *Kimsquit* nad zatoką Dean i *Bella Coola* u ujścia rzeki Bella Coola. Starsze źródła podają jeszcze *Nuhalk* (nazwa doliny Bella Coola), *Taltomk* nad południową zatoką Bentineck (którzy opuścili to miejsce w latach trzydziestych) i *Noothlakamish* nad północną zatoką Bentineck, zanotowani w 1884 roku przez Tolmca i Dawsona.

Historia: Alexander Mackenzie wędrował po kraju BELLACOOOLA po przejściu Gór Skalistych w 1793 roku, mniej więcej w tym samym czasie BELLACOOOLA zaczęli nawiązywać stosunki handlowe z europejskimi odkrywcami i handlarzami. Na pozostałą część ich historii składają się zwykle zmiany w obyczajach, misje chrześcijańskie i nadzór ze strony urzędników Biura Indiańskiego.

Liczebność: James Mooney oszacował ich liczbę na 1400 osób w 1780 roku. W 1902 pozostało ich tylko 311.

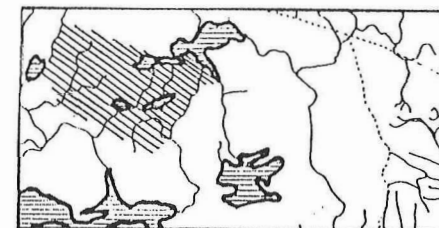
TATSANOTTINE

znaczy „ludzie splenionej wody”. „Plana” jest symbolicznym wyobrażeniem miedzi. Zwanii także:

Couteaux Jaunes – przez francuskich Kanadyjczyków;
Czerwone Noże (Red-Knife Indians) – nazwa nawiązująca do miedzi;
Miedziანი Indianie (Copper Indians) – z powodu wydobywania w ich kraju miedzi;
Żółte Noże (Yellow-Knife Indians) – nazwa nawiązująca do miedzi.

Język: Należą do atapaskańskiej rodziny językowej. Często utożsamiani są z Chipewyan. Ich pierwotna pozycja w tej rodzinie nie jest znana.

Rozmieszczenie: Zamieszkiwali nad wschodnimi zatokami Wielkiego Jeziora Niwolicznego oraz nad jego północnymi wybrzeżami.



Historia: Nazwa plemienia wywodzi się od rudy miedzi występującej w tamtejszych wzgórzach bliskorzeki Coppermine. W dawnych czasach z rudy tej TATSANOTTINE wykonywali noże, siekiery oraz inne tnące narzędzia i sprzedawali je po bardzo wysokich cenach, aż do czasu gdy na południu pojawiły się placówki handlowe z europejskimi artykułami przemysłowymi. TATSANOTTINE udeszli wtedy ze swych kopalń i przenieśli się na południe w pobliże wspomnianych placówek handlowych.

Liczebność: James Mooney oszacował ich liczbę na 430 osób w 1670 roku. W 1855 roku, według ówczesnego spisu ludności, który nie był zbyt dokładny, TATSANOTTINE liczyli 219 osób. W 1906 Morice oszacował ich liczbę na 500 osób.

MIŚ



Trzy uwagi

„Długo nie mogłem znaleźć czasu, żeby napisać. Wreszcie udało mi się, a trochę spraw, które chciałem poruszyć czeka już kilka miesięcy.

Pierwsza moja uwaga dotyczy artykułów pana Jacka Piwowarskiego.

Czytałem zawsze praktycznie całą zawartość numeru, w tym listy od czytelników. Nigdy jednak wśród całego ciągu zachwyków nie udało mi się dojrzeć opinii o artykułach p. Jacka Piwowarskiego. Dlatego postanowiłem w swoim imieniu podziękować za nie, gdyż naprawdę na to zasługują. Dla tych, u których sympatia do Indian oparta jest na „Winnetou” i innych powieściach K. Maya, może to być zimny prysznic i bardzo ciężka próba, ale jeżeli chcemy, aby nasze uczucie do tych ludzi było prawdziwe i trwałe, musimy przez takie próby przechodzić. Myślę, że jeżeli ktoś po serii artykułów p. Jacka nadal będzie kochał Indian, wspomagał ich na swój sposób i nie odwrócił się od nich, to może się czuć uodporniony na wszelkie niespodzianki losu, odnośnie tych wspaniałych skądinąd ludzi. Dlatego najlepiej traktować te artykuły jako swojego rodzaju szczepionkę uodporniającą, a wtedy nawet niezbyt, na pierwszy rzut oka, mile władomości o naszych przyjaciółach będzie nam łatwiej akceptować.

Druga sprawa to cykl pod nazwą „Znani i nieznani”.

Jest to naprawdę cenna rzecz. Obecnie pojawia się trochę „indiańskich” pozycji, które pomagają nam poszerzyć nasze wiadomości o Indianach, ale są to drogie na ogół książki i nie dla każdego osiągalne. Dzięki „Tawacinowi” można sobie skompletować taką mini encyklopedię indiańskich plemion, zwłaszcza że są to przeważnie plemiona wymarłe lub na granicy zagłady. Człowiek dotąd żyje, dopóki żyje o nim pamiętać. Podobnie jest z grupami etniczny-

mi. Oddajmy im hołd chociażby przez zachowanie ich nazwy.

Kolejna moja propozycja dotyczy artykułów, które dopiero mają się pojawić i jest związana z możliwościami wydawniczymi „Tawacinu”, który ukazuje się co trzy miesiące (niestety) i dlatego artykuły dotyczące wydarzeń bieżących są na ogół nieaktualne. Jest pewna możliwość, aby „trafiać” z artykułami w bardziej odpowiednim momencie, gdy dane wydarzenia jeszcze absorbują przynajmniej część społeczeństwa.

Myślę, że takim sposobem może być wyprzedzanie wydarzeń. Oczywiście nie wszystko może i musi się sprawdzić, ale wiedzy nigdy nie za wiele. Podam przykład.

Niedawno odbyły się w Kanadzie wybory w prowincji Quebec, które wygrali nacjonalści francuscy. Ich przywódca stawia sprawę bezkompromisowo, dążąc do oderwania tej prowincji od reszty kraju. Do tego momentu może nas to niewiele obchodzić. Niech martwią się tym Kanadyjczycy, którzy utraciliby ponadto kontakt z dwoma dalszymi prowincjami. Czytam jednak, że sprzeciwiają się temu tamtejsi Indianie i w tym momencie przestaje mi to być obojętne. Wydaje mi się, że nie możemy czekać do jesieni na wynik referendum, bo gdy będziemy wtedy czytać o tym w „Tawacinie”, znów będzie to „musztarda na obiedzie”. Proponuję już w najbliższym numerze przybliżyć Indian kanadyjskich (mimo wszystko mniej znanych niż ci z USA), ze szczególnym uwzględnieniem Indian z prowincji Quebec. Pozwoli nam to na zorientowanie się, dlaczego Indianie przyjmują taką, a nie inną postawę.

Waldemar Ciski
Wrocław

Harcerze i Indianie

„Razem z żoną, Dagmarą jesteśmy instruktorami harcerskimi, cała tematyka poruszana na łamach „Tawacinu” bardzo



nas interesuje. W tym roku żona otrzymała ofertę poprowadzenia obozu harcerskiego o tematyce indiańskiej w Bronkowie koło Krosna Odrzańskiego. Muszę tu zaznaczyć, że cztery lata temu w naszym hufcu (hufiec Jelcz-Laskowice) podobny obóz już raz się odbył i cieszył się bardzo dużym zainteresowaniem wśród uczestników. Osobiście w nim nie brałem udziału, słyszałem tylko wspaniałe komentarze i opowiadania od osób będących na tym obozie.

Tematyką Indian interesuje się tu kilka osób, które obecnie są o cztery lata starsze, posiadają one pewne doświadczenia, które zdobyli w swoim pierwszym obozie o tematyce indiańskiej, są to stroje, budowa totemów, tańce indiańskie oraz zabawy oparte na indianizmie (w wielu wypadkach dostosowane do wymogów obozowych).

W tym roku chciałbym wpłynąć na zmianę nastawienia tych osób do ludności tubylczej obu Ameryk oraz wzbogacić ich zasób informacji historycznej, folkloru, strojów, tańców, zabaw, budowy tipi, łodzi oraz wielu innych elementów codziennego życia Indian.

Ireneusz Stańczak
Wrocław

Muzeum

„Po przeczytaniu informacji w nr 4(28) „Tawacinu” o „Muzeum Pod Totemem” postanowiłem udać się tam najprędzej jak jest (czy też było) to możliwe. Wziąłem „starego” kompana (który co prawda: „Indianie? Hmm... niech ci będzie”) i w niedzielę rano wyruszyliśmy stopem do Poznania. Sama podróż i pobyt w Poznaniu były mniej lub bardziej związane z Indianami, ale bardzo ciekawe i w rezultacie udane. Ostatni dzień (wtorek) to najmilsza część podróży. Pracownia Literacka Arkadego Fiedlera w PuszczykóWKu. Nabraliśmy się na nazwę miejscowości PuszczykóWko biorąc PuszczykóWko za błąd w zapisie, no i...

drałowaliśmy na plechotę, żeby zdążyć przed zamknięciem. Oj, warto było! Nie pamiętam czego się spodziewałem, ale o rozczarowaniu nie może być mowy. Oczywiście miałem strasznie rozbiegane, bo nie wiedziałem co oglądać w pierwszej kolejności. Co prawda wpadliśmy do Muzeum podczas sprzątnia (przywitała nas przyzwolte wielkości psina), ale zostaliśmy serdecznie przyjęci przez żonę pana Marka Fiedlera. Obejrzelśmy wnętrze Muzeum wypełnione eksponatami z całego świata, a następnie zrobiliśmy na zewnątrz kilkanaście (poza dokumentacyjnymi) próżniackich zdjęć, np. przy popiersiu Szalonego Konia. Będziemy mieć pamiątkę.

Konrad Szpargała
Zdzieszowice

Szukanie drogi

„Każdy z nas poszukuje swojej drogi w życiu i każdy oczekuje, że na tej drodze spotka ludzi życzliwych, przyjaznych – na których można liczyć w każdej chwili. Ludzi, którzy wyciągną pomocną dłoń i poprowadzą nas bezpiecznie przez przeszkody i niebezpieczeństwa, którzy ochronią nas i nauczą jak przetrwać i dać sobie radę w życiu. Jak szczególnie ważne jest to, aby w życiu młodego człowieka pojawili się tacy nauczyciele i przyjaciele, wspierający duchowo ich poszukiwania w wyborze tej drogi – wszyscy doskonale wiemy. Niestety, nie wszyscy odnajdują w swym życiu tę właściwą drogę. Niektórzy gubią się, błędząc często po różnych ciemnych zaułkach, z których jednym udaje się wyjść, innym – nie. Niektórzy rozczarowują się i zwracają po pierwszych krokach do punktu wyjścia lub stoją bezradni, bojąc się przejść tą drogą bez uścisku przyjaźni dloni i obecności bliskiej osoby.

Właśnie tej drogi i przyjaznych, pomocnych dloni, poszukują u Was, u tzw. star-



szczyzny – młodzi ludzie, a nie znajdując wsparcia w spełnieniu swych marzeń i oczekiwań, rezygnują i odchodzą.

Ja także – nie kryję tego – z pierwszymi kontaktami z Wami, wiązałem pewne nadzieje i oczekiwania. Nie, nie pokierowania moim życiem, czy wskazywania drogi i kierunku (na to już trochę za późno, jestem w tym wieku, że mogę już sam iść swoją drogą), ale po prostu chciałem iego, czego najbardziej brakowało mi przez ten czas, tzn. być bliżej ludzi, z którymi mógłbym znaleźć wspólny język.

Z jednej strony, nie ma się czemu dziwić, że w wielu z tych listów zamieszczanych w Tawacinie, daje się wyczuć gorycz i rozczarowanie. Jest to normalne, to jakby głos buntowniczej młodoci.

Z drugiej zaś trzeba zdać sobie sprawę z tego, że początki poszukiwań swoich dróg w życiu, często są nie w pełni sprecyzowane i świadome. Często kierują nami przypadki. Także i na „indiańską ścieżkę” trafiają ludzie z przypadku. Początkowo wydaje im się, że to jest właśnie „to”. Jednak po pewnym czasie okazuje się, że wybrali nie tę drogę co trzeba, pierwsze zauroczenie i zafascynowanie mija i rezygnują, porzucając to hobby. Tacy ludzie, którzy nieświadomie zabłądzili na tę „indiańską ścieżkę” i nie są w stanie jej w pełni poznać i zrozumieć – i tak po jakimś czasie odedają. Pozostaną ci, którzy wkroczywszy na nią, w trakcie pokonywania kolejnych jej etapów, mimo różnych przeszkód i trudności – zaczynają stawiać swe kroki pewniej, wiedzą dokąd idą i świadomie rozpoznają, że wybrali tę właściwą drogę. Pozostaną ludzie wrażliwi, którym nie obce są takie wartości jak: dobro, prawda, przyjaźń, tolerancja. Są to wartości, które były (i są) bliskie tubylczym ludom Ameryki. Są to także wartości ogólnoludzkie, którymi powinien kierować się każdy z nas – ale niestety tak nie jest. Także dla mnie są one bliskie i cenię je najbardziej.

Staram się nimi kierować na swej drodze życia, chociaż nie zawsze jest to takie proste, gdyż włąże się to jakże często właśnie z samopoświęceniem.

Dla mnie, prawie od samego początku zainteresowania tematem indiańskim, najważniejsze było poznanie ludzi, ich mentalności, doznań, uczuć, spojrzenia na świat – to mnie najbardziej przyciągało. Dziś wiem, że podświadomie wyczuwałem bliskość duchowego związku z tymi ludźmi.

To tyle, co chciałem na ten temat powie-
dzieć.

Slawek z kieleckiego

Opóźnienie

✍ Jakis czas temu wysłałem pieniądze na prenumeratę „Tawacinu”. Nie wiem, czy doszły, gdyż gazety, która miała się ukazać w kwietniu, nie otrzymałem. Być może nie została jeszcze wydrukowana.

Daniel Czernek
Kielce

✍ Chciałbym powiadomić, że jeszcze nie otrzymałem „Tawacinu” – wiem, że mieliście opóźnienie, ale miał się ukazać pod koniec kwietnia (dziś jest 16 maja). Chyba że opóźnienie się przedłużyło. W takim przypadku prosiłbym o wyjaśnienie.

Tomasz Brzeski
Koszalin

Od redakcji: Z przykrością musimy przyznać, że wysiłki zniwelowania znacznego opóźnienia w ukazywaniu się kolejnych numerów „Tawacinu” nie przyniosły spodziewanych rezultatów. Na usprawiedliwienie chcemy przypomnieć, że „Tawacin” nie jest przedsięwzięciem nastawionym na osiąganie zysku. Na redagowanie pisma poświęcamy swój czas wolny po właściwej pracy zarobkowej. Stąd też napotykały na różnorakie problemy techniczne i finansowe (prenumerata nie pokrywa całych kosztów druku i wysyłki). Prosimy więc o wyrozumiałość, a ze swej strony dołożymy wszelkich starań, by „Tawacin” ukazywał się terminowo.

Zwierzienia Cienia

17. Czasami pojawiał się bez uprzedzenia, sprawiając miłą niespodziankę. Często dopiero w ostatniej chwili dowadywałem się, że będzie. Czasem dość długo nie mogłem się na Niego doczekać. Wiedzialem, że gdzieś jest, ale czy będzie i u nas? Trafiły się też okresy, że widywałem Go regularnie, o stałej porze. Nawet wtedy jednak potrafił być zaskakujący.

Lubił opowiadać o przodkach. Zwykle – o tragicznych losach wojowników. Tych prawdziwych, a przez to zazwyczaj kontrowersyjnych – jak nazywani przez Anglików *Królem Mohawków* Joseph Brant. I tych fikcyjnych, zwykle „szlachetnych dzikusów”, wzorowanych choćby na „ostatnim Mohikanie”. Ale i o kobietach, nie mniej boleśnie przeżywających konflikty osobiste, społeczne i kulturowe. Ostatnio, na przykład, o urodzonej w Nowej, ale zmarłej w starej Anglii, mitologizowanej niemilo-
siernie „księżniczce” Pocahontas. Lub o realistycznie tragicznej *Shehawe*, której fikcyjne dzieje toczyły się na ziemiach Indian oraz w starej i Nowej Francji.

18. Najczęściej mówił o historii. A raczej o tym, jak wyobrażał sobie pogranicze świata tubylców i Białych w Ameryce Północnej drugiej połowy XIX wieku. To zresztą zawsze był jeden z jego ulubionych tematów. Ale dziś, gdy chodzi o tak znane postaci, jak *Gerontimo* – amerykańska legenda Dzikiego Zachodu – stara się trzymać faktów i starania te podkreśla nieraz do przesady. To już nie te czasy, gdy w takich sytuacjach pozwalał sobie na wiele, jeśli nie na wszystko. Ale nadal też często Indianie służą mu jedynie za malownicze tło – do popisów jednego, dwóch, czy *stędmu wspaniałych* strzelców. Zdarzyło się też, że z pieniędzy Apaczów sfinansował po prostu komercyjny *pojedynkę rewolucjonistów* z ciemnością publicznością w tle. Generalnie jednak, jeśli chodzi o detale indiańskiej historii, kultury, języka – coraz częściej można mu ufać.

19. Niezmiernie rzadko zdobywał się za to na szczerość w sprawach współczesnych. Na prawdę o ciągnących się dziesiątkami lat konfliktach, o niewyrównanych rachunkach krzywd i o *duchu Szalonego Konia*, czuwającym nad swoimi potomkami. Jeśli już się na to decydował, to kreowany przez niego dzisiejszy świat byłby zaskakująco brutalny. Dla Indianina w tym świecie cel mógł uświęcać środki – nawet wtedy, gdy nam samym niełatwo było odnaleźć *wyraźny motyw* jego działania. Ale panujący wciąż nad tajemnymi mocami Indianin mógł też pozostać „jedynym sprawiedliwym”, dostrzegającym zło w *urodzonych mordercach*. Choć ani jedno, ani drugie nie musiało zapewnić mu przeżycia. Czyż można się dziwić, że o wiele łatwiej przychodzi mu historyjki z „happy endem”, jak ta o kochającej Indian *doktor Quinn*, potrafiącej znaleźć lekarstwo na każdy ból?

20. Być może najbliższy prawdy byłby – jeśli w ogóle można tego od niego oczekiwać – gdy powracał do swych przypowieści o przewijającej się przez *przystanek „Alaska”* galerii postaci. Jako jeden z nielicznych chyba nie *był tam Willie Boy*. Trudno gdzie indziej spotkać tytuł niestereotypowych Indian. Ludzi na wskroś współczesnych, ale i dumnych ze swej kultury i tradycji. Różnych, a jednak potrafiących współżyć w ramach lokalnej społeczności. W tym dalekim zakątku bywały nie tylko tubylcze gwiazdy filmu, indiańskie obrzędy i tradycyjne opowieści. Tam tubylczy artyści wykonywali swoje utwory, tam można było usłyszeć cytaty z indiańskiej „klasyki”, a na wziętych z codziennego życia przykładach przekonać się o zaletach mądrości przodków i sensie „myślenia jak przysznic”. I takie właśnie wielowymiarowe spotkania z Nim lubiłem bodaj najbardziej.

Spędziłem z Nim niemal sto godzin, średnio dwa razy w tygodniu, przez cały ostatni rok. Powiecie, że to i tak za mało? Pewnie. Też chciałbym więcej spotkań z filmem o Indianach. Z dobrym filmem o do-
brych Indianach. Lub z prawdziwymi Indianami, oczywiście. □

KSIAŻKI KSIAŻKI KSIAŻKI KSIAŻKI KSIAŻKI KSIAŻKI

LITERATURA PIĘKNA

CZARNY ŁOŚ – *Opowieść indiańskiego szamana*. Dzieje świętego człowieka Siuksów Oglala opowiedziane poprzez Johna G. Neihardta (Piłmienną Tęczę). ZYSK i S-ka Wydawnictwo. Poznań 1994, stron 220, cena 12 zł.

Polskie wydanie legendanej już książki, będącej indiańską „biblią”. Tytułowy Czarny Łoś to wielki wizjoner i wojownik Oglalów. Brał udział w bitwie nad Little Bighorn i w masakrze Minniconjów Wielkiej Stopy nad Wounded Knee. Odwiedził Europę z teatrem Buffalo Billa. W wieku lat dziewięciu zobaczył potężną wizję, dzięki której miał ocalić naród Siuksów...

Tylko ziemia przetrwa... Mała antologia dawnej i współczesnej literatury Indian Ameryki Północnej. SOK Sztum 1992, stron 140, cena 4 zł.

Tradycyjne legendy i opowieści, pieśni, sztuka krasomówcza, wspomnienia i poezja.

RZEMIOSŁO

Wiesław K. Niedźwiadek: *Indiańskie techniki zdobienia koralikami*. Tipi, Wielichowo 1992, stron 52, cena 2 zł 50 gr.

Koralikowe „zrób to sam” – bransoletki, łańcuszki, rozetki, paski itp. Techniki tkania, wyszywania i plecenia. Wzory.

HISTORIA

Historia wojen Indian Ameryki Północnej. Wyd. „Akcydens”, Poznań 1995, stron 208, cena 32 zł.

Książka przedstawia historycznie udokumentowane wydarzenia z lat 1607–1890. Opowiada o heroicznej walce Indian z białymi kolonizatorami. Opisy bitew i potyczek wzbogacone zostały szeregiem ilustracji – oryginalnymi zdjęciami oraz reprodukcjami obrazów (papier kredowy, format A4). Ponadto szereg map, poczet wodzów oraz chronologia wydarzeń.

Maciej Zimiński: *Legenda w indiańskim pióropuszu*. Wyd. Spółdzielcze. Warszawa 1991, stron 150, cena 2 zł 90 gr.

Autor przedstawia sylwetki kilku sławnych postaci (Joseph Brant, Sitting Bull, Tecumseh, Sekwoja, Ge-

ronimo, a także Sat Okh i Karol May), podając wiele ciekawych faktów i ukazując jednocześnie jak ci ludzie wpływali na tworzenie się legendy o zdobywaniu Ameryki. Sporo fotografii, także kolorowych.

Ameryka Indiańska. Spotkanie dwóch światów. (Katalog wystawy) Poznań 1992, stron 198, cena 6 zł 90 gr.

Katalog poznańskiej wystawy z okazji 500-lecia otakim samym tytule, zawierający ponadto okolicznościowe artykuły o tubylcach obu Ameryk. Pięknie wydany na papierze kredowym i bogato ilustrowany.

SZAMANIZM

Nevill Drury: *Szamanizm*. Wyd. Rebis. Poznań 1994, stron 160, cena 4 zł 90 gr.

Czym jest, gdzie powstał, jak się rozprzestrzenił i jakie przechodził ewolucje. Indiańscy medicine men: Czarny Łoś, Brooke Leczący Orzeł, Słoneczny Niedźwiędz. Castaneda i Andrews – szamani czy szarlatani?

Lynn V. Andrews: *Szamanka*. Zysk i S-ka. Poznań 1995, stron 234, cena 8 zł 20 gr.

Autobiograficzna opowieść o kobiecie, która – pod wpływem rozmaitych przeżyć – postanowiła poszukać własnej tożsamości, sensu egzystencji w kulturze amerykańskich Indian. W tym celu bohaterka odbywa dramatyczną podróż w długi świat Manitoby. Przypadkowe spotkanie prowadzi ją do Agnes Gwiżdżący Łoś, która na trwałe zmieni jej życie.

Jim Berenholtz: *Podróż w cztery strony*. Mistyczna opowieść o podróży w starożytne tajemnice obu Ameryk. LIMBUS. Bydgoszcz 1994, stron 360, cena 9 zł 50 gr.

Wizjoner, muzyk obrzędowy i podróżnik, Jim Berenholtz (znany w Polsce ze swej muzyki) dzieli się z nami swym mistycznym przebudzeniem i niezwykłą wiedzą.

Pokrywamy koszty przesyłki pocztowej. Prosimy o przedpłatę przekazem lub na konto:

TIPI, Marek Maciołek

ul. Łąkowa 3

64-050 Wielichowo

GBW-BS w Wielichowie

Rk 963549-56531-2706-2

Ze względu na termin dostarczania wpłat przez bank, realizacja zamówień może trwać do 3-4 tygodni. Aby to przyspieszyć można przesłać zamówienie listem dołączając kopię przekazu.

W następnych numerach:

- Wojna o Stary Północny Zachód 1790-1795
- Szoszon! i Bannokowie na Oregońskim Szlaku
- Taniec w życiu Indianina
- Rozmowa z Sat Okhlem
- Między cywilizacją a dzikością (dzieje Naczezów)
- Poczet wodzów indiańskich
- Algonkinowie
- Rezerwaty
- Kobieta indiańska



Uwaga: Rozszerzony został numer konta bankowego, który obecnie ma postać: **963549-56531-2706-2**. Blankiety z poprzednim numerem są dalej ważne, jednak przy korzystaniu z druków na pocztę prosimy podawać nowy numer.

W wszelkiego rodzaju korespondencji i wpłatach prosimy **zawsze** podawać swój pełny adres tzn. **imię i nazwisko, ulica i numer domu, kod pocztowy i miejscowość**. Otrzymaliśmy kilka przekazów, na których brak nazwy ulicy i nie możemy zrealizować zamówienia.

WARUNKI PRENUMERATY

TAWACIN ukazuje się cztery razy w roku. Cena jednego numeru w prenumeracie wynosi razem z wysyłką 2 zł 50 gr. Prenumerata roczna wynosi 10 zł. Oferujemy możliwość obniżenia ceny prenumeraty przez wysyłkę pod jeden wspólny adres co najmniej 2 egzemplarzy TAWACINU. Udzielone bonifikaty powodują wówczas obniżenie ceny do:

ilość egzemplarzy	cena 1 egz. w złotych	cena prenumeraty 1 egz. w 1995r.
1	2,50	10,00
2-4	2,35	9,40
5-9	2,20	8,80
od 10	2,00	8,00

Wpłaty należy kierować na konto:

MAREK MACIOŁEK, TIPI

UL. ŁĄKOWA 3

64-050 WIELICHOWO

GBW-BS w WIELICHOWIE

RK NR 963549-56531-2706-2

Prosimy dokładnie i czytelnie podawać swój adres na przekazie oraz czego dotyczy wpłata. Przy zmianie adresu prosimy o informację.

NIE PRZESYŁAĆ PIENIĘDZY W LISTACH!

